HISTORIE Z BRAMY HISTORIE Z BRAMY HISTORIE Z BRAMY

OŚRODEK BRAMA GRODZKA

TEATR NN .PL

ARIAV

NIMROD ARIAV

HISTORIE Z BRAMY

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN.PL

LUBLIN 2015

NIMROD ARIAV

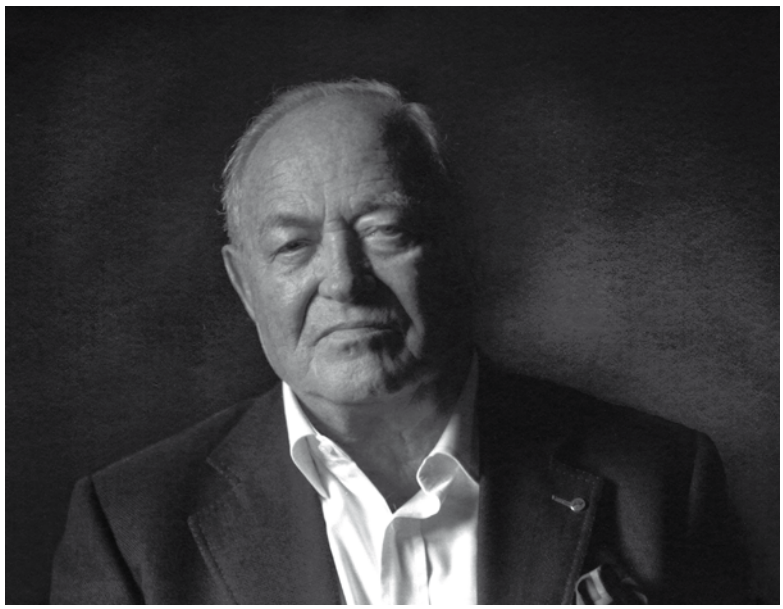

HISTORIE Z BRAMY

T. 1

WYDAWCA:
OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”

NIMROD ARIAV

Wstęp

Nimroda Ariava poznałem w październiku 2001 roku w Bełżycach uczestnicząc, po raz pierwszy, w uroczystościach upamiętniających zamordowanie bełżyckich Żydów w 1942 roku. Wśród zabitych był jego ojciec. Spotkanie odbywało się tu, gdzie zostali oni pochowani – na kirkucie, który Nimrod odszukał, uporządkował i upamiętnił. To wtedy, stojąc obok kamiennego pomnika, powiedział coś bardzo mądrego i wzruszającego:

> „Ten kamień jest dla wszystkich tu pogrzebanych. Nie wyszczególniłem mojego ojca. To nie jest moje miejsce. Ja tylko pomogłem je odbudować. Każdy może tu wejść".

Takie uroczystości organizuje od początku lat 90. Do Bełżyc przyjeżdża wtedy z całego świata jego rodzina i grupa przyjaciół. Od tamtego czasu, każdego roku jestem razem z nimi. Dla mnie spotkanie z Zigim (tak zwracają się do niego przyjaciele) ma szczególne znaczenie. Ja, który opowiadam o nieistniejącym już Mieście Żydowskim, poznałem kogoś, kto w nim żył. Kogoś, kto urodził się i wychował niedaleko Bramy Grodzkiej, na ulicy, którą przechodzę codziennie. W jakimś głębokim sensie staliśmy się sąsiadami…

Gdy prosiłem go o przyjazdy do Lublina na spotkania z młodzieżą, organizowane w Bramie Grodzkiej, nigdy nie odmawiał.

Na jednym z takich spotkań uczniowi, który spytał go o życiowe przesłanie, odpowiedział:

> „Nie mogę powiedzieć młodym ludziom, jak robić, co robić (…). Ale jedną rzecz powiem: ucz się, ucz i co najważniejsze – daj część z siebie innym ludziom (…). Bądź człowiekiem.
>
> (…) Przeszedłem życie i widziałem dużo ludzi, którzy nie wiedzieli, czego chcą. I tak przeszli przez swoje życie. Nie wtargnęli do życia – przeszli tak obok [niego]. A [do życia] trzeba wtargnąć, trzeba poznać, czym ono jest, trzeba je poczuć".

Tak, ci, którzy go znają, wiedzą, że Zigi jest tym, który nie przeszedł obok życia, ale zawsze jest w samym jego środku.

Drogi Zigi, chciałbym jeszcze dodać coś, co jak myślę sprawi Ci przyjemność. To są słowa kierowane specjalnie do Ciebie od Twojej znajomej Nechamy Tec, również pochodzącej z Lublina:

> „Jeśli zobaczycie Pana Cygielmana, to przekażcie mu serdeczne pozdrowienia. Ja go zawsze wspominam bardzo ciepło. To bardzo fajny człowiek – mądry i fajny".

Tomasz Pietrasiewicz

[…]

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą –
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Adam Asnyk, *Daremne żale*

JESTEM WNUKIEM SZLAMIANKI

Reportaż

Agnieszka Góra-Stępień

Poniższe zdarzenie ma miejsce zimą:

do miasteczka zmierza ukraiński młodzieniec. Wołodymyr, bo tak mu na imię, jedzie rowerem z Lublina (w lubelskim Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" przebywa na Wolontariacie Europejskim w ramach współpracy polsko-ukraińskiej).

Niecałe trzydzieści kilometrów drogi Wołodymyrowi zajmuje może godzinę, najwyżej dwie. Na miejscu robi zdjęcia.

Brama cmentarza żydowskiego w Bełżycach, fot. Wołodymyr Dyshlevuk, 2014.

Na jednym z nich jest brama cmentarna: wysoki mur z białego kamienia, który przykryto daszkiem z czerwonej dachówki. Brama ma kształt obszernej kopuły. Na ścianie muru jest reliefowa rzeźba – drzewo przypominające menorę. Widnieje też napis w języku polskim i w hebrajskim. Brzmi: „Cmentarz żydowski". Wewnątrz cmentarza wyeksponowano kilka ocalałych macew zwróconych przez mieszkańców miasta. Na pomniku macewie z czarnego marmuru jest napis:

„Pamięci tych wszystkich, którzy pochowani zostali w tym miejscu".[1]

Nimrod Ariav z żoną Odette i synem Avim na cmentarzu żydowskim w Bełżycach. Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

1 Opisując bramę cmentarną, korzystałam za: Historia kirkutu w Bełżycach, Stanisław Jadczak, „Bełżyce. Monografia miasta i gminy, Lublin – Terespol 2002" [w:] Historie z Bramy. Nimrod Ariav, wyd. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".

To stąd jesienią, nad pomnik i dalej ulicą Przemysłową echo niosło słowa: „O Panie, uczyń z nas narzędzie pokoju". Hen, po tutejsze pola. I gdyby nie dzisiejszy zgiełk, to kadysz z bełżyckiego kirkutu to samo echo mogłoby zanieść jeszcze dalej. Aż po tutejszy rynek, gdzie kamienice tworzą kształt kwadratu. I gdzie budynki przypominają te przedwojenne. Tylko jidysz dziś tu nie słychać:

– Językiem jidysz posługiwałem się przed wojną – powiedział Nimrod Ariav. Elegancki mężczyzna o wysokim czole. – Dzisiaj więcej słucham niż mówię. Jak ktoś do mnie mówi po żydowsku, rozumiem. Ale nie będę z nim rozmawiał po żydowsku. Mam kuzyna, który przyjechał z Sao Paulo. Nie widziałem go jakieś dwadzieścia kilka lat. On jest z Lublina. Opuścił z rodziną Lublin w 1939 roku. Mam z nim problem: on mówi po portugalsku – ja nie znam portugalskiego; po angielsku trochę mówi, ale niewiele; polski trochę pamięta, ale nie za dużo, bo on jest młodszy ode mnie o 3 lata. I on pamięta, i ja pamiętam, jak żeśmy się tutaj razem bawili, ale on zna jidysz. Więc teraz, jak z nim jechałem do Bełżyc, w samochodzie mówiliśmy trochę po żydowsku, ale tak, to nie używam tego języka. Używam czasami jakichś słów, które pamiętam, a które po żydowsku znaczą w ogóle coś innego – kiedy nie ma takiego słowa w innym języku.

A bywa też inaczej:

choć słowa w języku polskim funkcjonują, to to, co niegdyś opisywały, jest nieobecne w dzisiejszej przestrzeni. Jak synagoga. Tu, w Bełżycach, gdzie po wojnach XVII wieku silna pozycja Żydów prowokowała konflikty ze zubożałym chrześcijańskim mieszczaństwem, zdarzyło się, że w okresie panowania Zygmunta III Wazy mieszczanie bełżyccy zaskarżyli do króla wygląd synagogi. Skarga

została przyjęta i gmina żydowska została zmuszona do przebudowy bożnicy i jej obniżenia, tak, aby nie górowała nad miejscowym kościołem[2].

Synagoga była zbudowana z drewna, spłonęła na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej, kiedy miasteczko spustoszył niszczycielski ogień. Pożar bożnicy nie wpłynął jednak na upadek życia religijnego i oświatowego wśród miejscowych Żydów. Więc i słowo „synagoga" dalej było tu żywe. W 1914 roku rolę synagogi przejęło sześć dużych domów modlitwy i osiem chederów – początkowych szkół dla chłopców żydowskich. Według wyników pierwszego spisu powszechnego w II Rzeczypospolitej z 1921 roku Bełżyce zamieszkiwało 1882 Żydów, stanowiących 51 procent ogółu ludności[3].

Dziś pozostałościami po wielowiekowej obecności Żydów w miasteczku są pomnik i kamień na placu przed Miejskim Domem Kultury, gdzie kiedyś stała bożnica i gdzie po latach, z przedniego siedzenia w czarnym lincolnie wysiadł Nimrod Ariav.

Pomnik na placu przed Miejskim Domem Kultury w Bełżycach upamiętniający ofiary getta żydowskiego. Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

2 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 125.

3 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc , Bełżyce 2006, s. 126.

Ariav przyjechał z bliskimi: żoną, dziećmi, wnukami. Jak co roku tą porą w tym miejscu towarzyszyli mu też przyjaciele. Kolejne auta parkowały przed Miejskim Domem Kultury.

Nimrod Ariav z rodziną i przyjaciółmi przed pomnikiem Ofiar Getta w Bełżycach. Fot. Tomasz Czajkowski, 11.09.2006.

– 2 października 1942 roku na miejscu, gdzie stała synagoga, rozstrzelano 150 Żydów – powiedział Nimrod S. Ariav.

Mówili inni:

– Nazywam się Elsa Mercoy[4], jestem przyjaciółką rodziny [Nimroda Ariava], a to jest mój mąż, Mundrzi, prowadzi razem z Ariavem interesy.

4 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.

– Jestem Turkiem – przedstawił się mąż pani Elsy[5] – i to też jest część mojej historii. Przecież Hitler, myśląc o zagładzie Żydów, wspominał, że nikt już nie pamięta zbrodni dokonanej na Ormianach w imperium otomańskim. Historia jest więc wspólna. Na początku przyjazd tutaj to była smutna okazja, teraz jest raczej wesoło – można spotkać znajomych, poznać nowych ludzi. Jestem muzułmaninem.

Elsa Mercoy[6]: – Ja jestem chrześcijanką, a Ariav jest żydem, ale jesteśmy przyjaciółmi. To bardzo dobry człowiek. Ma dobre serce. Lubi dzielić się z rodziną, z przyjaciółmi i z krajem, z którego pochodzi. Tu są jego korzenie.

– To, co robi Ariav Nimrod, to przez jego wielki respekt dla tradycji, dla pradziadków, dla ojca – podkreślił Seweryn Aszkenazy, przyjaciel rodziny[7]. – On uważa, że musi to robić, bo jego ojciec byłby zadowolony z niego, i jego matka też byłaby dumna z tego, co on robi. To jest typowo żydowskie. Ludzie sobie nie zdają sprawy, że Żydzi, bogaci Żydzi, umierają biedni, bo oni wszystko oddają za życia. Prawie wszystko. Dzieciom się daje troszkę, żeby mogły zacząć swoje życie, a potem to, co człowiek przez lata zarobił, oddaje przed śmiercią. Jest takie powiedzenie: „Oddawać pieniądze ciepłymi rękami", i to jest część tego. On tutaj nie ma żadnych interesów, w ogóle nie ma żadnych innych spraw, oprócz historii, oprócz miejsca urodzenia.

– W zeszłym roku – wspominał Nimrod Ariav – zaprosili mnie do szkoły w Bełżycach[8] uczniowie ostatniej klasy, przed maturą.

5 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.
6 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.
7 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.
8 Spotkanie miało miejsce w 2004 roku. Za: relacją przeprowadzoną w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008. Archiwum Teatru NN.

Napisali do mnie e-mail z prośbą, żebym powiedział, co się działo, jak się działo, i tak dalej. Odpisałem im, że e-mailem tego nie zrobię, ale jestem gotowy przyjechać i porozmawiać z nimi. Przyjechałem. Było tam dużo młodzieży, bo wzięli uczniów z dwóch szkół, i było kierownictwo szkoły, a ja stałem, po polsku mówiłem. Były pytania, bardzo dobre pytania. Odpowiedziałem trochę politycznie, niecałą prawdę, bo nie ma prawdy. Pytali, jacy Polacy byli. Co im powiedzieć? Jak to było? Oni za młodzi są. Powiedziałem, że byli tacy i tacy.

Nimrod Ariav przyjeżdża do Bełżyc każdej jesieni. Regularnie, od 1987 roku. Rok później, w osiemdziesiątym ósmym po raz pierwszy zabrał tu synów.

To było tak:

Powrót

Podróż z Kalifornii musiała im zająć ponad dziesięć godzin. Po wizycie w Warszawie, Oświęcimiu i na Majdanku, usłyszeli od ojca:

– Dobrze, jedziemy teraz szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem – powiedział Nimrod Ariav.

Po kilku godzinach błądzenia po miasteczku któryś z synów nie wytrzymał i spytał:

– Dlaczego się nie zapytasz? – spojrzał na ojca, sześćdziesięciodwuletniego mężczyznę, który z doświadczeniem pracy w izraelskim przedsiębiorstwie lotniczym (Israel Aircraft Industries) prowadzi własną firmę lotniczą, lecz takiego wyrazu twarzy ojca jak

tu, w miasteczku, nigdy przedtem nie widział. Nigdy przedtem też ojciec nie chciał wracać do tamtej przeszłości. – Dlaczego się nie zapytasz? – syn powtórzył pytanie.

Ojciec przyznał, że to przez dumę. Wtedy syn wziął go za rękę.

Ariav mógł zacząć w Urzędzie Gminy: – Moje nazwisko brzmi dzisiaj Nimrod Ariav – możliwe, że to tymi słowami przedstawił się urzędnikowi, bo i wszystko to było prawdą. – Przedtem w Lublinie – Cygielman, w Warszawie – Henryk Górski i Jerzy Godlewski. A dla moich przyjaciół jestem Zigi…[9].

Jednak w urzędzie było nieco inaczej:

za drzwiami gabinetu naczelnika miasta i gminy Bełżyce Ariav usłyszał, że ów urzędnik jest rodowitym bełżyczaninem, urodzonym w czterdziestym trzecim roku. Ariav spojrzał na naczelnika i zobaczył: bardzo przyjemny, bardzo porządny chłop. Na tyle porządny, by po opowieści naczelnika o jego rodzinnym domu, w pewnym momencie mu przerwać i zapytać, czy on, Ariav, może mu opowiedzieć swoją historię:

– Panie burmistrzu, jestem wnukiem Szlamianki – wreszcie Ariav wykrztusił łamaną polszczyzną.

– I pan burmistrz wiedział dokładnie, kim ja jestem – dodaje Nimrod Ariav po latach. Przecież ani naczelnik, ani żaden mieszkaniec tego miasteczka, nikt by nie wiedział, kim on jest, gdyby powiedział: „Jestem Ariav-Cygielman, urodzony w Lublinie…".

9 Tak przedstawił się Nimrod Ariav 13 lutego 2006 roku podczas spotkania z młodzieżą w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie, Archiwum TNN.

Bełżyce przed wojną. Fot. dołączona do pracy: Agata Iwaniuk „Żydowska gmina wyznaniowa w Bełżycach: topografia polityczna 1919-1939". Autor nieznany.

Żydowski pochówek

…w mieście, gdzie przed wojną przez okno do mieszkania w kamienicy przy ulicy Nowej 17 wpadał rzewny śpiew ślepca z rogu ulicy Lubartowskiej. Tego, że ślepca otaczał zasłuchany tłum sprzedawców, którzy wyszli na chwilę ze swoich sklepów, czy kobiety z koszykami albo dzieci z tornistrami, to z tamtego okna trudniej już było dostrzec. Za to widać było tragarzy opasanych powrozami na tle ciasnych zabudowań ulicy Lubartowskiej. Byli to silni Żydzi o krzepkich dłoniach, którzy czekali na okazję do zarobku. Handel kwitł, a z każdą godziną na Lubartowskiej robiło się tłoczniej. Mieszkańcy Lublina dobrze wiedzieli, że przy ciasno zabudowanej Lubartowskiej mieszkali bogaci, ortodoksyjni Żydzi i kupcy, którzy posiadali swoje sklepy, magazyny i hurtownie na tej samej ulicy[10].

10 Informacje zaczerpnięte za: M. Bałaban, Żydowskie miasto w Lublinie, Lublin 1991 [za:] http://teatrnn.pl/leksykon/node/1200/lublin_ulica_lubartowska#04 [data dostępu: 25.03.2015].

Była to najdłuższa ulica dzielnicy żydowskiej. Ulica Lubartowska miała ponad kilometr długości i prowadziła do nowego cmentarza żydowskiego położonego przy ulicy Obywatelskiej, zaś z przeciwnej strony, na wysokości Kowalskiej przechodziła w ulicę Nową[11]. To wzdłuż Nowej, aż do zegara miejskiego, ciągnął się targ żydowski. Mieścił się w niedalekiej odległości od dzielnicy chrześcijańskiej, a znajdujące się tam jatki były własnością chrześcijan[12]. Po zmroku, dokładnie z tamtego sklepu na prawo, tak, właśnie z tego miejsca był dobry widok na okno kamienicy o numerze 17, gdzie w świetle lampki, właśnie w tej witrynie okiennej wyraźnie rysowała się postać mężczyzny. Siedział on nad kartką papieru i pisał wiersz.

To była dwupiętrowa kamienica, zbudowana z cegły, z przeznaczeniem na cele mieszkalne. Została wzniesiona na początku XIX wieku. W roku 1937, z którego zachowały się materiały

Nimrod Ariav z Tomaszem Pietrasiewiczem na spacerze po lubelskiej Starówce.
Fot. Joanna Zętar, 13.02.2006.

11 Obecnie (2015) dawna ulica Nowa stanowi część ulicy Lubartowskiej.

12 Opis ulicy Lubartowskiej za informacją: http://teatrnn.pl/leksykon/node/1200/lublin_ulica_lubartowska [data dostępu: 25.03.2015].

archiwalne dotyczące kamienicy, budynek należał do sióstr Frajdli i Sury Wajsbrodt. W ich imieniu kamienicą zarządzał Josef Wajsfeld, zamieszkały przy ulicy Grodzkiej 14.

Kamienica posiadała dwie klatki schodowe – główną i boczną. Budynek składał się z siedemnastu odrębnych lokali mieszkalnych – ośmiu mieszkań jednopokojowych, pięciu mieszkań z dwoma pomieszczeniami i czterech lokali trzypokojowych. W jednym z mieszkań, późnym wieczorem mężczyzna notował kolejny wers, gdy usłyszał:

Matylda Cygielman – matka Nimroda Szulema Cygielmana (Nimroda Ariava), ok. 1918–1920. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

– Lejb, czemu z ciebie nie ma dobrego kupca?! – spytała w jidysz jego żona.

Lejb pochodził z Lublina, był cichy i wykształcony. I nie myliła się jego żona, Lejb dobrym kupcem nie był. Tej jego żonie było Marta (Matla Rajzla) i od ślubu nosiła jego nazwisko:

– Cygielman – przedstawiła się. Nosiła włosy spięte do góry i odsłaniające czoło. Rozpinany sweter i wystająca spod niego bluzka z kołnierzem podkreślały jej wyraźne rysy twarzy. Kości policzkowe i brwi, podobnie jak oczy, też ciemne. – Marta Cygielman, dla znajomych Matylda – ukłoniła się na targu rybnym, zwanym żydowskim, który mieścił się u zbiegu Lubartowskiej i Nowego Placu Targowego.

Położony był w samym środku dzielnicy żydowskiej. Tamtejsze jatki należały już na pewno do żydowskich rzeźników i sprzedawano tam koszerne mięso. Lecz i chłopi, przywożący codziennie furmankami zaopatrzenie, mieli niezłe rozeznanie w zwyczajach żydowskich i zaopatrywali tę dzielnicę przez wszystkie pory roku, przywożąc na każde święto żydowskie odpowiednie produkty rolne, sprzedawane po niższych cenach[13]:

– Drób, warzywa, grzyby, owoce i przetwory mleczne! – mówiła Marta, wyjmując kolejne zakupy. A potem powiedziała do męża, że w dzisiejszym Kurierze Lubelskim Józef Łobodowski pod pseudonimem „Paragraf" uszczypliwie napisał o relacjach polsko-żydowskich w kolumnie: „Zgrzyty lubelskie"[14]:

13 Opis targu za informacjami: http://teatrnn.pl/leksykon/node/1200/lublin_ulica_lubartowska [data dostępu: 25.03.2015]

14 Łobodowski Józef, Zgrzyty lubelskie : Smutny zgrzyt, Kurier Lubelski nr 52, 21.02.1932, s. 5 [za:] http://biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/dlibra/docmetadata?id=19486 [data dostępu: 25.03.2015].

Co czuliśmy, my, Polacy, gdy nam krzyżackie plemię rzucało w twarz wyzwiska: polskie bydło...?!

Co czuliśmy, my, Polacy, gdy jeden z największych twórców świata, Dostojewskij w swoich arcydziełach traktował nas per „polacziszki...".

Co czuliśmy, my, Polacy, gdy w czasach niewoli zmuszano nas do szargania naszych świętości, do niemieckiego pacierza, do uczestniczenia w prawosławnych galowych nabożeństwach nas, katolików.

Nie wątpię, że coś podobnego czują nasi współobywatele żydzi, gdy u źródła kultury, w Uniwersytecie, czytają szydercze i niedowcipne ogłoszenie pewnego koła uniwersyteckiego: „Dziś, jako w szabas, zebranie sekcji żydoznawczej...".

Każdy człowiek ma prawo sumienia i własnych świętości …

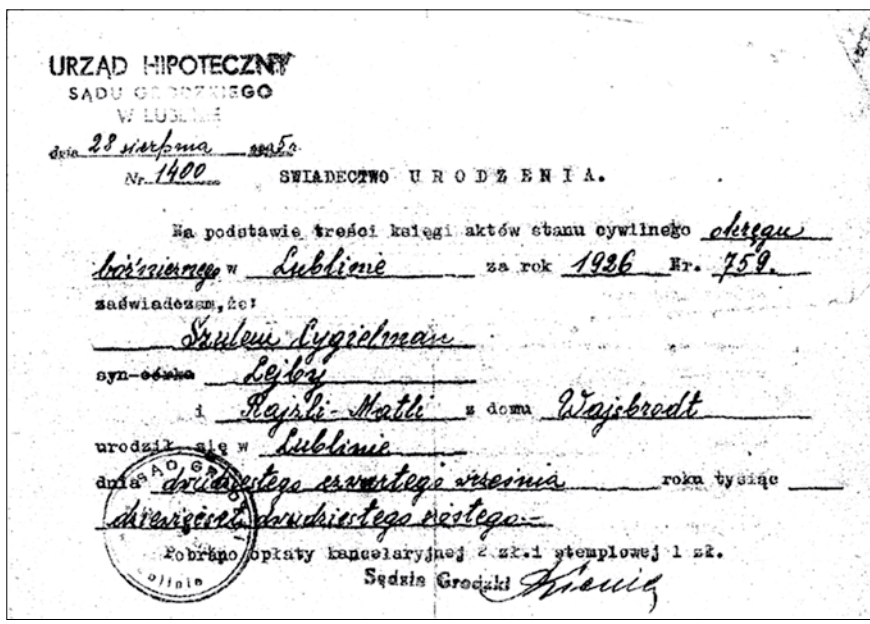

URZĄD HIPOTECZNY
SĄDU GRODZKIEGO
W LUBLINIE
dnia 28 sierpnia 1926
Nr. 1400 ŚWIADECTWO U R O D Z E N I A.

Na podstawie treści księgi aktów stanu cywilnego okręgu bożniczego w Lublinie za rok 1926 Nr. 759.
zaświadczam, że:
Szulem Cygielman
syn-~~córka~~ Lejby
i Rajzli-Matli z domu Wajsbrodt
urodził ~~się~~ w Lublinie
dnia dwudziestego czwartego września roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego.
Pobrano opłaty kancelaryjnej 2 zł. i stemplowej 1 zł.
Sędzia Grodzki

Świadectwo urodzenia Szulema Cygielmana (potem Nimroda Ariava), 1926.
Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

– …tylko ludzki stosunek człowieka do człowieka wytworzyć może współżycie ludów bezkrwawe na globie ziemskim i aż dziwić się należy, że to biedny, wesoły Paragraf musi uczyć miłości bliźniego tych, którzy tak dobrze wiedzą, jak gorzko naigrywanie się smakuje" – Marta Cygielman kończyła lekturę artykułu przed mężem. To prawdopodobne, że czytała mu na głos.

Marta, z domu Wajsbrodt, pochodziła z pobliskich Bełżyc. Urodziła Lejbowi bliźniaki, a jako syjonistka i aktywna uczestniczka kongresów syjonistycznych w Marienbad, w Karlsbad, zdecydowała posłać synów do szkoły powszechnej z językiem wykładowym hebrajskim – Tarbut.

Lublin, kamienica przy ul. Niecałej 3, gdzie Nimrod Ariav uczył się w Gimnazjum Żydowskim.
Fot. Marcin Fedorowicz.

Nimrod Szulem Cygielman (Nimrod Ariav) (na drugim planie), z bratem Avrahamem, Lublin, przed 1939. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

Kamienica przy ulicy Nowej 17 w Lublinie, dom rodziny Nimroda Ariava.
Fot. Stefan Kiełsznia, lata 30.

Lublin,
ul. Lubartowska 19
(dawniej Nowa 17),
kamienica, w której
do 1940 roku
mieszkała rodzina
Nimroda Ariava.
Fot. Marcin
Fedorowicz, 2008.

Bliźniaki uczyły się hebrajskiego i wierzyły w Izrael, a tamtego popołudnia przynajmniej jednego z nich nie było w mieszkaniu. Rzeczywiście, Szulem Cygielman (ten, do którego w przyszłości znajomi będą mówić „Nimrod Ariav") dopiero był na głównej klatce schodowej, już mijał pomieszczenia gospodarcze na parterze, wreszcie wybiegł przed posesję. Dalej przez obszerne, osiemdziesięciometrowe podwórze z brukowaną nawierzchnią. Szybko w tyle zostawił sklepy na parterze kamienicy przy Nowej 17. A już z tej odległości ich szyldy trudno było rozszyfrować. Choć napisy

„Fabryka Cukrów" czy „Galanteria" były jeszcze dostrzegalne, to szyldu z kolejnej witryny: „Wytwórnia Czapek" – Arona Jeleniewicza minutę później nie sposób było przeczytać. Szulem mocno się śpieszył, do bożnicy. Razem z ojcem i bratem. Zatem to musiał być piątek. Bo zwyczajem dziadka była cotygodniowa modlitwa. Szulem wypatrzył dziadka, podszedł na moment, ucałował mu dłoń i… zaraz uciekł. Podobnie jak w każdy piątek. Nawet po latach przypomina sobie, że bał się dziadka z Kowalskiej. A wiedział wówczas o dziadku, że to właśnie on był jednym z budowniczych Jesziwat Chachmej Lublin:

– Na Lubartowskiej. Bo raz mnie tam zabrał i pokazał makietę świątyni żydowskiej z Jerozolimy – któregoś następnego dnia Szulem opowiadał guwernantce Gertrudzie.

– Hört zu![15] – najwyraźniej Gertruda chciała coś wtrącić.

Kamienica przy ulicy Kowalskiej 8, gdzie mieszkał dziadek ze strony ojca Nimroda Ariava – Izrael Dawid. Fot. Stefan Kiełsznia, lata 30.

15 Tłum. z języka niemieckiego na język polski: „Posłuchaj!".

Budynek jesziwy – Jeszywas Chachmej Lublin (Wyższej Uczelni Rabinackiej) przy ulicy Lubartowskiej 85.

Jednak tamtego dnia Szulem nie dał jej dojść do słowa. Był mocno podekscytowany i prawdopodobnie to on chciał mówić dalej. Na przykład o mieszkaniu dziadka, które mógł nawet wskazać palcem. Lecz choć mieściło się niedaleko, bo przy ulicy Kowalskiej, odwiedzał je rzadko: – To duże mieszkanie, ale tam smutno, czarno – mówił o domu dziadka.

Mniej wiedział o drugim dziadku. Może poza tym, że drugi dziadek, Wajsbrodt nie był aż tak religijny i szybko zmarł. Wnuk z opowieści znał historię, jak w dwudziestym szóstym roku jego ojciec zabrał dziadka Wajsbrodta na operację do Berlina. Niestety, do rodzinnych Bełżyc co prawda wrócili obaj, ale dziadek przyjechał w trumnie.

– Jak go przywieźli, a to była sobota – opowiadała mu nieraz matka Marta – to całe miasteczko nie zapaliło świec, żeby nie było powiedziane, że ojciec przyjechał w sobotę – patrzyła na syna, co nosił imię Szulem.

Bełżyce przed wojną. Autor nieznany.

A było to tak, że dziadka przywieziono w metalowej trumnie, co było niedozwolone w rytuale żydowskim więc na miejscu szybko wyjęto ciało i Wajsbrodt został pochowany po żydowsku.

Dziadek zostawił czarny świecznik na stole i żonę w Bełżycach. Miasteczku, gdzie pierwsi Żydzi osiedlili się w pierwszej połowie XVI wieku. Gdzie była ciesząca się dużym rozgłosem szkoła żydowska, której jednym z filarów był Jakub Nachman:

– Zwany także Jakubem z Bełżyc, uczony i lekarz, który zasłynął z błyskotliwych religijnych dysput z lubelskim arianinem Marcinem Czechowiczem – opowiadała wdowa po Wajsbrodcie. Patrzyła na wnuków z Lublina i mówiła dalej, że o znaczeniu Bełżyc na mapie osadnictwa żydowskiego w Polsce w XVII wieku świadczył fakt, iż w 1643 zwołano tu jedno z posiedzeń centralnej instytucji samorządu żydowskiego w ówczesnej Rzeczypospolitej – tzw. Sejmu Czterech Ziem.

Gmina żydowska się rozwijała. Aż przyszedł rok 1648 i Bohdan Chmielnicki i jego wojska. Te spustoszyły Bełżyce, mordując wielu Żydów, pustosząc ich domy i rabując dobytek.

– W ciągu XVII i XVIII wieku Żydzi bełżyccy odrobili straty spowodowane najazdem kozackim z 1648 roku i ponownie zmajoryzowali miejscowy handel, a także częściowo rzemiosło – mogła dodać wdowa po Wajsbrodcie. Mogła, bo prawda jest taka, że tego wszystkiego nie zdążyła opowiedzieć wnukom[16]. A tamtego dnia dopiero wyglądała dyliżansu z werandy domu.

Droga do babki Wajsbrodt, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów konnym dyliżansem, wnukowi Szulemowi Cygielmanowi z Lublina zwykle zajmowała cztery, nawet pięć godzin.

Rynek w Bełżycach dziś. Archiwum TNN.

Dom rodziny Wajsbrodtów (dziadków Nimroda Ariava) w Bełżycach, fot. Kamil Stępień, 6.09.2015.

16 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 125.

Powrót – ciąg dalszy

Najwyżej pół godziny jechał Nimrod Ariav z Lublina do Bełżyc po kilkudziesięciu latach.

Na bełżyckim rynku usłyszał:

– Czy pan mniej więcej pamięta, w którym miejscu ten dziadek mieszkał? – spytał naczelnik miasteczka.

Panorama Bełżyc z widokiem na rynek. Rok 1941. Zdjęcie ze zbiorów Anny Dudkowskiej-Konopy.

Powiedział Ariav: – Wie pan, dokładnie nie pamiętam, ale spróbujmy, jeśli pan ma czas.

Szli pierzeją rynkową od kościoła katolickiego. I kiedy zbliżali się do skrzyżowania z ulicą Zieloną, Ariav był pewny: – To tutaj mieszkał mój dziadek! – powiedział.

Równie żywo zareagował naczelnik:

– Może spróbujemy porozmawiać z mieszkańcami Bełżyc na ten temat?! – zaproponował, nie spodziewając się, że już te spotkane przy swoich domach rodowite bełżyczanki na pytanie, czy przypominają sobie rodzinę pana Ariava, miały potwierdzić, że tutaj mieszkał jego dziadek.

– Ale on już nie żył, jego nie znałam – wspomina po latach pani Marianna Ostrowska[17] (ur. 1922).

Pani Marianna jest z Radawczyka koło Bełżyc. Wsi, gdzie przed wojną Małka handlowała cukierkami. A Szlamka sprzedawał chusteczki. Żydzi z Bełżyc niemal co dzień tam przychodzili:

– A to cielę kupić, a to wosk kupić, a to kaszę, takie rzeczy kupowali – opowiada pani Marianna. – Jak ktoś miał więcej sadu trochę, to kupowali sad na dwa lata, godził się z gospodarzem. Bo teraz to jakoś tak wychowane te drzewa są, że rodzą co rok, a kiedyś to co drugi rok prawie rodziły. A potem przyjeżdżał, przywoził żonę z dziećmi w lecie. Robili sobie budę taką ze słomy jak namiot, siedzieli, zbierali te jabłka. Żyd tam konia jakiego miał, wywoził, gdzieś sprzedawał. I tak kręcili się tutaj po wsi – dodaje pani Ostrowska, która często do Bełżyc jeździła wtedy, przed wojną, na przykład do krawca.

– Tutaj nie było takiego – mówi dalej pani Ostrowska. – Tutaj – ma na myśli Radawczyk – przyjeżdżał taki Szmul, drugi Szajas, z tych, co u nas byli, Fersztmani się nazywali. To oni tam cielętami handlowali, [można było] krowę kupić czy coś. Pośredniczyli dla

17 Wszystkie wypowiedzi pani Marianny Ostrowskiej za relacją przeprowadzoną w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008. Archiwum Teatru NN.

dworu. Dwór miał takiego swojego pachciarza. Pamiętam, przyjeżdżał kiedyś do ojca dworski taki dziedzic krowę kupować, bo u nas była ładna obora przed wojną, ładne mieliśmy bydło. Żyd pośredniczył zawsze. Tak się trudnili, czym mogli. Rymarze byli, co chciały puszorki dla koni zrobić albo co, to przyjeżdżał na podwórze, jak tam była skóra z krowy i robił puszorki dla koni. Szewce też tam byli. Mechel taki był w Bełżycach, tak na okolice robił buty takie eleganckie jak oficerskie, to wszystkie chłopaki takie buty od Mechla miały. Miałam stryjenkę taką spod Bełżyc, z Podola pochodziła. Jej rodzice mieli młyn na Podolu. Jak jechała, to często szliśmy z nią coś tam kupić w tych Bełżycach.

– Nawet nazwiska niektórych Żydów pamiętam – wspomina pan Stanisław Gołofit[18], mieszkaniec Bełżyc.

Pan Stanisław miał niespełna dwadzieścia lat, kiedy jako młodzieniec zaglądał przez szybę do zakładu fryzjerskiego Jakuba Kirsza i słyszał, że „rabiniaki!" wołano za dziećmi rabina. To wołanie niosło się aż po okno Wajsbrodtów. A to, podobnie jak inne dźwięki ulicy, dolatywało do uszu Szulema Cygielmana, który w mieszkaniu dziadków właśnie wskakiwał w buty od Mechla. Jego wypastowane niby-oficerki zwróciły nawet uwagę Żyda w chałacie. A kolejny tak ubrany, też mężczyzna żydowskiego pochodzenia, którego Szulem mijał na rynku, tak jak i tamten, tu nie robił na mieszkańcach Bełżyc specjalnego wrażenia. Nad ulicą żydowski język mieszał się z polskim. Podobnie jak kaszkiety tutejszych chłopów z żydowskimi krymkami.

– Prawdziwy sztetl, jak to się widzi czasem w kinie – opisuje po latach pan Ariav. – W Bełżycach był rynek, gdzie sprzedawano raz w tygodniu różne rzeczy, a dookoła były domki.

18 Wszystkie wypowiedzi Stanisława Gołofita za relacją przeprowadzoną w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2006. Archiwum Teatru NN.

Zajmowali je także przedstawiciele działających tu odłamów niemal wszystkich większych partii żydowskich – syjonistycznych, robotniczych i ortodoksyjnych. Najsilniejszą pozycję wśród nich posiadała partia religijnych ortodoksów – Aguda oraz robotniczo-jidyszystowski Bund[19].

Ponad pięćdziesiąt procent mieszkańców miasteczka to byli Żydzi, to i w piątki tu wszystko było zamknięte.

– …to było święto – pamięta pan Stanisław. – Do soboty wieczora. A wieczorem już otwierali.

Jak babka Wajsbrodt. Ta przed laty, wracając z chlebem od Josiego, z piekarni na rogu, raz podsłyszała rozmowę Polaków na ławce:

– Te Żydowice to nawet stroiły się, a niektóre to i przystojne – rzucił Stanisław Gołofit[20], mieszkaniec Bełżyc i Polak.

Znała Stanisława jako klienta jej sklepu. Kupował często:

– Bo ona ma takie lepsze towary wszystkie – powtarzał Stanisław. – To u niej troszki droższe, ale lepsze towary – zwykł mawiać. A po latach dodaje:

– Bo były i inne sklepy łokciowe – tak samo mieli. Ale to już takie byli mniej bogate.

Rzeczywiście, rodzina Wajsbrodt była zamożna. A sklep pani Wajsbrodt, to był sklep bławatny.

---

19 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 126.

20 Wszystkie wypowiedzi Stanisława Gołofita za relacją przeprowadzoną w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2006. Archiwum Teatru NN.

– Jak kiedyś się przed wojną mówiło, łokciowy, takie sprzedawała materiały ubraniowe i to drogie. „Szlamianka" na nią mówili – pamięta pani Marianna z Radawczyka. – Nie mówili po nazwisku. Mam wrażenie, że mężowi było Szlama. Ale on nie żył, jego nie znałam – powtarza. – I ten syn pracował z nią, a córka wyszła do Lublina i nazywała się Cygielman. To ona też miała taki sklep. To też ją znałam. Ona potem w wojnę przychodziła tu do nas. Miała trochę takich materiałów i przyniosła tutaj do ojca naszego. Gdzie ona tu była, to nie wiem, gdzieś nie bardzo daleko, ale przychodziła w biały dzień i tam wzięła sobie kupon jakiś materiału, czy na płaszcz, czy na co, okręciła się wkoło, opasała się paskiem, włożyła jesionkę i poszła. Matka ta nie przeżyła, ale oni przeżyli oboje, ci młodzi – pani Marianna ma na myśli wujka i matkę pana Ariava. – Nie wiem, gdzie przeżyli.

Matkę pana Ariava – Martę Cygielman, o której mówi pani Marianna – koniec wojny zastał w Warszawie. Nie przeżył jednak mąż Marty, ojciec pana Ariava. Lejba Cygielmana zamordowano.

– Przyjechałem z synami szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem i ja go nie mogę znaleźć – wreszcie Ariav zdradził powód swojej wizyty w Urzędzie Miasta.

Po słowach naczelnika miasta i gminy: – Chodź pan ze mną, ja panu pokażę – Ariav o mało nie dostał ataku serca. A ponieważ przyjechał z potrzebą opowiedzenia swojej historii, nadszedł czas, by wrócić pamięcią do niemal pięćdziesięciu lat wstecz:

Bomby

To się zaczęło we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku: na Lublin zaczęły padać bomby. Kiedy dziewiątego września atak niemieckich bombowców uderzył w centrum miasta, Szulem

Cygielman z rodziną był w piwnicy. Podobnie jak podczas kolejnych nalotów bombowych, trzynastego czy siedemnastego września tego samego roku. Ponieważ część kamienicy przy ulicy Nowej 17 uległa zniszczeniu, Marta – Matla Rajzla Cygielman – pełnomocniczka właścicieli kamienicy, pisała podanie skierowane do Wydziału Budownictwa Urzędu Miasta z prośbą o uzyskanie pozwolenia na przeprowadzenie remontu w zniszczonych pomieszczeniach. W tych okolicznościach mogła ją zastać wiadomość o utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa. Z Lublinem jako stolicą dystryktu lubelskiego – przyszła informacja. Równie szybko przyszedł rozkaz, że ona – Marta, tak jak i jej rodzina mają też nosić opaskę, żydowską.

Któregoś kolejnego dnia Szulem Cygielman szedł w opasce chodnikiem wzdłuż ulicy Lubartowskiej, wiedział, że jego nazwisko było obok nieco ponad trzydziestu siedmiu tysięcy innych nazwisk, też żydowskich, ale jeszcze nie przypuszczał, że mężczyźni z Hitlerjugend, na widok opaski zareagują na tyle gwałtownie, żeby wyrzucić go z chodnika. Fakt, wrzeszczeli, że on jako Żyd, nie może tamtędy iść, jak oni idą chodnikiem, burzyli się.

Było ich trzech, a czy to byli Polacy, czy Polacy-Niemcy, volksdeutsche, tu po latach pana Ariava pamięć zawodzi. Zapamiętał jednak na całe życie, że wtedy zbili go, porządnie. I że tamtego dnia zdjął żydowską opaskę. Miał dobry wygląd. Nie miał typowej, żydowskiej urody, dlatego i żydowskiej opaski nigdy potem już nie nałożył.

Wieść, że hitlerowcy zaczęli niszczyć ludność żydowską w Lublinie, zastała go w domu rodzinnym na Starym Mieście. Gdy Lejb Cygielman, w przekonaniu, że będzie bezpieczniej zdecydował o przeprowadzce do domu rodzinnego żony Marty w Bełżycach, nikt z rodziny nie spodziewał się, że w miasteczku miało ich spotkać jeszcze gorsze nieszczęście.

U krewnych

Do Bełżyc przyjechali w czterdziestym roku. Szulem miał trzynaście lat.

Lejb z rodziną zamieszkał u babci w miasteczku.

To było duże mieszkanie, gdzie Szulem bawił się z kuzynami. Kiedy skończył czternaście lat, poszedł do pracy do elektrowni w Bełżycach. Nie dostawał zapłaty, lecz uczył się fachu. Aż pewnego dnia czterdziestego drugiego roku nie stawił się w elektrowni. Razem z rodziną szykował się do drogi. Lejb dostał ostrzeżenie przed akcją gestapo i podjął decyzję o ucieczce z rodziną. Wziął też wujka żony z trójką dzieci.

Prawdopodobnie było to w okolicach Zielonych Świątek czterdziestego drugiego roku. Wiemy ze źródeł, że dokładnie 11 maja 1942 do Bełżyc przyjechała niemiecka żandarmeria z Ukraińcami i obstawili miasto. Złapano mężczyzn, przeważnie młodych, zebrano ich na rynku, a potem pognano pieszo w stronę Lublina. Eskortowali ich Ukraińcy. Po drodze wiele osób uciekło, chociaż Ukraińcy strzelali. Następnego dnia do Bełżyc dotarła wiadomość, że wszystkich gnanych mężczyzn zaprowadzono na Majdanek[21].

A to, że była to pierwsza akcja wysiedleńcza w Bełżycach, było już pewne, kiedy Cygielmanowie wrócili do Bełżyc. W miasteczku szybko zaczęto mówić, że z Majdanka się nie wraca, że to obóz śmierci. Potem przychodziły kolejne wieści do Bełżyc:

jak ta w Jom Kippur, że z 580 mężczyzn bełżyckich zostało tylko dwudziestu pięciu;

21 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 131.

albo kolejna: że wysiedlenie Żydów bełżyckich na Majdanek 11 maja miało prawdopodobnie charakter tzw. akcji wymiany (Austauschaktion), czyli wysyłania do obozów koncentracyjnych lub zagłady pewnej liczby miejscowych Żydów w celu przygotowania miejsca dla osób narodowości żydowskiej deportowanych na teren dystryktu z obszarów Europy Zachodniej. To mogła być prawda, bo już następnego dnia do Bełżyc przybył transport tysiąca Żydów niemieckich z Saksonii i Turyngii[22].

Podobno w Bełżycach byli też Żydzi z Francji, bo, jak pamięta pani Marianna, przyjechał do Bełżyc Żyd, któremu Lejzor było na imię. Może to było tego Żyda nazwisko? Tego dokładnie pani Ostrowska nie wie. Nie pamięta już dobrze, ma swoje lata. Wie jednak, że był to krawiec męski. Ponieważ w wojnę jej ojcu jako mężczyźnie kręcenie się w środowisku żydowskim groziło wywózką na roboty do Niemiec, do krawca poszła ona.

– Prosił, żeby uszyć mu burkę – tłumaczyła potem panna Marianna w progu niedużego mieszkania. Lejzor spojrzał na Mariannę, a ona zachowała w pamięci obraz niedużego pokoju, może cztery na pięć metrów, gdzie mieszkało dwoje dorosłych i ich trzy córki. Dwie były panienkami, jedna zamężna. Tamtego dnia, tego, że całej rodziny Lejzora nie dane będzie jej już wkrótce spotkać, nie mogła wiedzieć.

Jeszcze dziewiętnastego maja 1942 roku liczba ludności bełżyckiego getta wynosiła 3696 osób[23].

22 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 131.

23 Za: Adam Kopciowski: „Dzieje Żydów bełżyckich" [w:] Studia z dziejów Bełżyc, Bełżyce 2006, s. 131.

Podobno Niemcy przychodzili rano. Wyganiali Żydów na bełżycki rynek. Patrzyli Polacy i widzieli, jak wracał Niemiec z hełmem do połowy wypełnionym złotem i biżuterią.

– Nazbierał, to obiecał, że ich puści, no to ich puścił, niektórych – wspomina pani Marianna z Radawczyka[24].

W połowie roku 1942 do Bełżyc przybyło dwóch uciekinierów z obozu zagłady z informacją o masowym gazowaniu. A któregoś razu z miasteczka znikł krawiec, co miał trzy córki, dwie panienki i jedną zamężną. Usłyszała pani Marianna o Żydach z Bełżyc:

– Niemcy jak ich ganiali na pociąg do Lublina, to do Niedrzwicy – wspomina po latach. Niedrzwicę od Bełżyc dzieliło niecałe dziesięć kilometrów i biegły tamtędy tory kolejowe. – Tam była droga, teraz jest szosa do Niedrzwicy, a kiedyś była droga. Mokra jesień była. To podobno tak strasznie ci ludzie szli, i co kto wyszedł za róg to zaraz strzelali. To dzieci takie pięcio-, sześcioletnie, małe, to miało jaki tłumoczek, to wszystko się przewracało, to zastrzelił.

Lejb Cygielman zarzekał się, że nie da się złapać. Jednak na ten temat myśli miał szersze i choć nie mówił wprost, to był przygotowany na wypadek ewentualnego złapania. Miał takie myśli także tamtego jesiennego dnia, gdy mieszkańców Bełżyc obudził huk strzelaniny.

Była najwyżej trzecia nad ranem, a z głośników radiowych szła informacja, że za przechowywanie Żydów grozi kara śmierci, a za rabowanie mienia żydowskiego – więzienie. Miasteczko ogarnęła panika. Lejb Cygielman też chciał uciec.

---

24 Wszystkie wypowiedzi pani Marianny Ostrowskiej za relacją przeprowadzoną w ramach Programu Historia Mówiona realizowanego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008. Archiwum Teatru NN.

Nimrod Ariav przed wejściem do Miejskiego Domu Kultury w Bełżycach. Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

Powrót – ciąg dalszy

Szulem, dziś znany jako Nimrod Ariav, był piętnastolatkiem, kiedy miał się dokonać mord na ludności żydowskiej przy obecnej ulicy Tysiąclecia w Bełżycach.

– To w tym miejscu było to rozstrzelanie – powiedział Nimrod Ariav, mając ponad sześćdziesiąt lat, kiedy naczelnik zatrzymał się przy budynku obecnego Domu Kultury. Niegdyś mieściła się tam bożnica, dokładnie za bożnicą, obok łaźni żydowskiej rozstrzelano Żydów.

Zabijali nie Niemcy, lecz Litwini. A Litwini ponoć byli gorsi niż Niemcy, tak to zapamiętał pan Ariav: – Może był jeden Niemiec, a całą robotę zrobili Litwini albo Ukraińcy, byli także z Łotwy i z Estonii – opowiadał.

Tego, że Lejb Cygielman miał truciznę, Ariav dowiedział się od ciotki, która przeżyła wojnę.

A to musiało wyglądać tragicznie:

w czterdziestym drugim na miejscu zbrodni Lejb sięgnął po truciznę i usłyszał: „Po co to robisz, ja ci pomogę!" – szydził okupant, i zastrzelił Lejba na miejscu. Poza nim jakieś sto czterdzieści dziewięć osób.

Po wyjeździe Niemców, na miejscu zbrodni był Szulem Cygielman, podobnie jak inni młodzi.

– Ja mniej więcej pamiętam, że to była ulica, która przy tym miejscu zbrodni biegła wzdłuż – po wielu latach dramatyczne obrazy sprzed lat pan Ariav miał znów przed oczami. – Szliśmy tą ulicą w kierunku południowo-zachodnim, następnie główną ulicą Bełżyc – wracał pamięcią do tamtych wydarzeń, kiedy razem z grupą kilkunastu kolegów ciała zamordowanych przez hitlerowców wywoził na taczkach. – Wieźliśmy te trupy na taczkach i wyjechaliśmy za Bełżyce, i było takie rozwidlenie: my pojechaliśmy prosto na ten cmentarz, a po prawej stronie – starał się nie pominąć żadnego szczegółu, a mówiąc, mógł lekko zmarszczyć czoło – wydawało mi się, że tam cmentarz katolicki był – opowiadał. – Katolicki – powtórzył.

Naczelnik znał dobrze miasteczko i wiedział, że to, co mówił Ariav, nie mogło daleko mijać się z prawdą. Wtedy, przy budynku Domu Kultury, Ariav wskazał naczelnikowi kierunek, w którym w 1942 roku wywozili zwłoki.

Faktycznie, to było ulicą Tysiąclecia, następnie obecną ulicą Krakowską, dawniej Urzędowską i później wzdłuż ulicy Urzędowskiej aż do skrzyżowania z obecną ulicą Biskupa Wilczyńskiego

i ulicą Kościuszki, dalej na wprost. To miał ustalić naczelnik. A kilka lat później jeszcze dodać:

– Wozili zwłoki tych pomordowanych właśnie na cmentarz żydowski, natomiast w prawo, rzeczywiście, przy ulicy Kościuszki, jest cmentarz katolicki – mówi, pamiętając dobrze spotkanie z Nimrodem Ariavem w drugiej połowie lat 80.

To wtedy, w miejscu z widokiem na pola i łąki, ale też na ten cmentarz katolicki naczelnik zatrzymał się: – To był kirkut żydowski – powiedział pośród drzew i bawiących się dzieci.

Tylko panu Ariavowi trudno było uwierzyć:

– Nie ma żadnej macewy, niczego nie ma. To jest to miejsce. To pan jest pewny, tak? – dopytywał.

Wrócili do urzędu i sprawdzili w księgach, że rzeczywiście kirkut żydowski zlokalizowany przy drodze do Urzędowa (obecnie ulica Przemysłowa) około kilometra za miastem, został urządzony w latach 30. XIX wieku. Otoczony był rowem i wałem ziemnym. Cmentarz funkcjonował do maja 1943 roku, tj. do ostatecznej likwidacji przez hitlerowców getta w Bełżycach, ale przetrwał w dobrym stanie do końca II wojny. Zniszczony został przez okoliczną ludność, która wykorzystała macewy do celów użytkowych. W latach 60. teren ogrodzono płotem z siatki i obsadzono regularnie drzewami[25].

– To był kirkut żydowski – powiedział raz jeszcze naczelnik.

– Ale tam drzewa i żadnej macewy – powtarzał pan Ariav, wracając pamięcią do czterdziestego drugiego roku.

25 Za: Stanisław Jadczak, „Bełżyce. Monografia miasta i gminy, Lublin – Terespol 2002. [w:] Historie z Bramy. Nimrod Ariav, wyd. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".

Tomasz Pietrasiewicz z synem Nimroda Ariava, Avim, na bełżyckim kirkucie.
Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

Zgodnie z rytuałem żydowskim, że nie wolno pochować tych, którzy zostali zabici tego samego dnia oddzielnie, ciała zamordowanych z synagogi nastoletni Szulem razem z młodzieńcami złożyli w jednym grobie.

– Pamiętam, że mój ojciec jest pochowany pierwszy z prawej – powiedział pan Ariav po latach i dodał, że przed laty, po tamtym pochówku spędził w Bełżycach zaledwie tylko kilka następnych tygodni, bo szybko zdecydował się na wyjazd.

Na Siennej

Pociąg zatrzymał się w Warszawie. Był koniec czterdziestego pierwszego roku, a Szulem błądził z kartką papieru. Na kartce był adres. To tam miał się zgłosić.

– Miałem kogoś, kto mi pomógł od początku – opowiada Nimrod Ariav po latach. – To byli także Żydzi, którzy się ukrywali.

Papiery wyrobił sam. Wziął nazwisko zmarłego rówieśnika. Z kościoła miał świadectwo chrztu:

– Nazywam się Henryk Górski – przedstawił się w urzędzie miasta.

A jako uczeń szkoły – gdzie, jak miał czas pokazać, choć co prawda niewiele się nauczył, to poznał polskich kolegów, którzy mu pomagali – należał już do AK.

Wspomina po latach, że pamięta dwa miejsca w Warszawie, gdzie wówczas mieszkał: – Jedno, nie wiem, gdzie – dodaje. – Niektóre rzeczy wyleciały mi z głowy i nie chcą wrócić.

Na pewno jednak nie to, że do Bełżyc jeszcze wrócił. Po brata.

Na warszawskie getto żydowskie patrzył już z bratem z okna pociągu. Był kwiecień czterdziestego trzeciego roku. Obaj Cygielmanowie zamieszkali w kamienicy przy ulicy Siennej. Razem z nimi – znajomy z żoną, także z Lublina. To byli państwo Rajsowie. Przed wojną studiowali w Belgii. Ona uchodziła za Francuzkę. To musiało mieć znaczenie, gdy któregoś dnia, kilka miesięcy potem, Henryk Górski przed wejściem do kamienicy przy Siennej usłyszał, że w jego mieszkaniu jest gestapo – ostrzegł go dozorca. A o tym, co zdarzyło się za zamkniętymi drzwiami, dowiedział się niedługo potem. Po pierwsze, ktoś zdradził, że w mieszkaniu przy Siennej mieszkają Żydzi. Po drugie, gestapo tam weszło i złapało brata Szulema i pana Rajsa. Tylko pani Rajsowa, która uchodziła za Francuzkę, ocalała. A co z tamtymi dwoma, tu wątpliwości nie ma:

– I zabili ich – opowiadał pan Ariav. – Na żandarmerii, na Siennej, nie wiem, jaki numer – przyznaje, pamiętając dobrze, że

dokładnie wtedy znów się przeprowadził, a nazwisko Henryk Górski zamienił na kolejne. Został Jerzym Eugeniuszem Godlewskim.

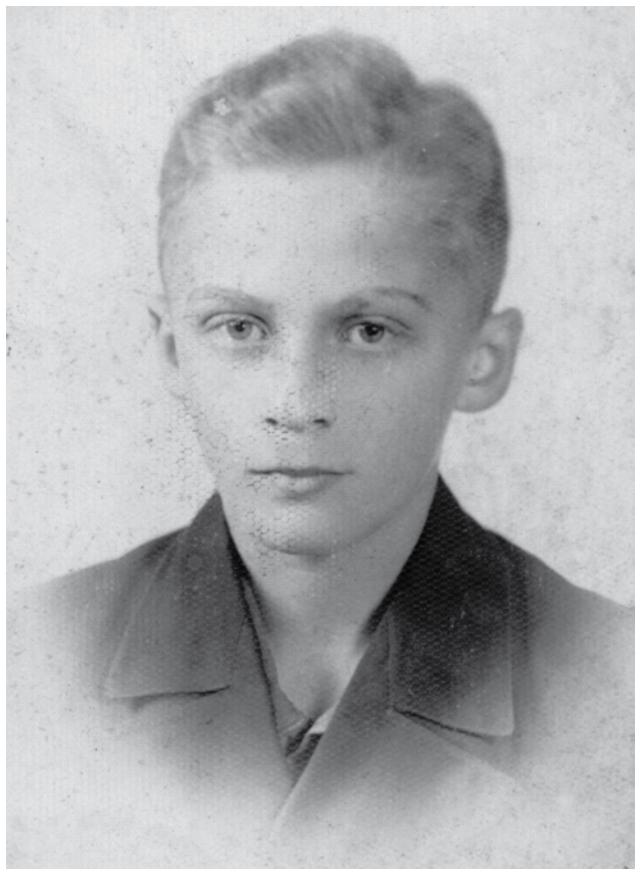

Avraham Cygielman, brat Nimroda Ariava. Lublin, 1939. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

– Trzeba było żyć z czegoś – opowiada pan Ariav – to razem z kolegami w Warszawie, nie pamiętam ani jednego nazwiska, oni wszyscy byli starsi ode mnie, robiliśmy coś, handlowaliśmy, byliśmy w AK. Zapomniałem, że jestem Żydem, byłem w polskim środowisku.

Aż pewnego dnia przy alkoholu – kiedy towarzystwo było już dobrze pijane – siadła na jego kolanach dziewczyna i powiedziała:

– Henryk, wiesz, gdybym nie znała ciebie i twoich kolegów, ja bym powiedziała, że ty jesteś Żydem.

Otworzył szerzej oczy: – Dlaczego?

Na co ta dziewczyna: – Coś w twoich oczach – powiedziała. A on dziś dodaje:

– Później pomyślałem: ona była Żydówką, stuprocentowo była. Moje oczy mnie omal nie wydały, ale nic… Zaczęliśmy pić razem, wszystko potoczyło się normalnie.

Był najmłodszy w grupie. Choć wyglądał na ponad dwadzieścia, miał jakieś osiemnaście, może dziewiętnaście lat i świeżo w pamięci powstanie w getcie warszawskim, na które patrzył z polskimi kolegami, z drugiej strony. Co wtedy czuł, tu znów po latach pamięć zawodzi. Wspomina tyle:

– Patrzyłem dobrze, bo ja dokładnie wiedziałem, kim jestem. Możliwe, że nie mówiłem o tym i chciałem zapomnieć, ale wiedziałem dokładnie, kim jestem. Co mogłem czuć? Jak reagowali Polacy? Smutno. Widziało się, że to ich bolało. Wśród tych, którzy stali ze mną i patrzyli, nie widziałem nikogo, kto by się cieszył.

Wtedy przed laty, gdy widział powstanie w getcie, nie mógł wiedzieć, że wybuch kolejnego zrywu, Powstania Warszawskiego, miał zastać go przy dobrze mu znanej ulicy Siennej. No i tego, że z doświadczeniem zdobytym na kursach w Warszawie, miał walczyć na Starówce.

Tak było. Został też ranny.

Szpital

To był szpital w piwnicy. Trafił tam Henryk z postrzelonymi obydwiema nogami. Ranną miał też rękę. Nie mógł nią machnąć kilka dni potem na powitanie kolegów, co przyszli z odwiedzinami.

Nimrod Szulem Cygielman (Nimrod Ariav) – pierwszy od lewej, z kolegami w szpitalu, Kraków, grudzień 1944. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

Rozmawiali dużo. Opowiedział im o mężczyźnie, który leżał obok:

– Zmarł dwa dni temu i leżał tak dwa dni, bo nie było nikogo, żeby go zabrać.

Lekarzy było niewielu i gdy nadszedł dzień, kiedy on miał opuścić szpital, któryś z kolegów przyniósł mu buty, duże. Pomimo zakazu zabierania rannych, znajomi owinęli mu rany bandażem i znieśli go do kanałów. Szli tak jakieś cztery i pół godziny. Szulem Cygielman, w Warszawie znany kolegom już jako Jerzy Eugeniusz Godlewski[26], z tymi nogami, postrzelonymi. Ponieważ nie mógł wyjść o własnych siłach, trzeba było go wyciągnąć.

Nie miał szczęścia, niedługo potem znów został ranny.

Szpital, gdzie tym razem przebywał, mieścił się przy ulicy Polnej. Kiedy po dwóch miesiącach próbował obrócić głowę, ta prosta z pozoru czynność, w jego wypadku była dalej niemożliwa i graniczyła z cudem. Mimo obaw kolegów, tych niemal pewnych, że Jerzy już nigdy nie będzie ruszał głową, po jakichś czterech miesiącach Godlewski pomału zaczął odzyskiwać sprawność. Najgorszy ból przyszedł wraz z wycięciem włosów. Miał dużo włosów a brakowało znieczulenia. Opowieścią o tym, jak podczas zabiegu kilka razy tracił przytomność – tak, aż cała skóra zeszła, nie chciał tylko zasmucić matki, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy od kilku miesięcy. Patrzył na nią ze szpitalnego łóżka.

A mogli się spotkać wcześniej. Jakiś czas przedtem sam sprowadził matkę z Bełżyc do Warszawy. Jednak życie pokazało, że wzajemnym wizytom nie sprzyjał i czas, i tamte okoliczności. Matka, razem

26 Przypomijmy: Szulem Cygielman (wówczas w Warszawie – Henryk Górski), po tym, jak wraz z bratem i żydowskim lubelskim małżeństwem Rajs zostali zadenuncjowani, zmienił nazwisko na Jerzy Eugeniusz Godlewski.

z ciotką ukrywała się u Polaków przy ulicy Polnej. Pani Marta nie miała dobrego wyglądu, nie wychodziła na zewnątrz i nie wiedziała, gdzie mieszkał syn, tym bardziej że zmieniał mieszkania. Długo też nie wiedziała, że drugi syn, bliźniak, już nie żył. Kiedy Abraham zginął, Szulem bał się zdradzić prawdę przed matką. Minęło dużo czasu zanim się dowiedziała, a potem nigdy miała mu tego nie zapomnieć. Zatem ten fakt przed nią ukrył. Zawiadomił ją jednak, kiedy trafił do szpitala przy Polnej. „To po sąsiedzku", pomyślał. Kiedy przyszła, nawet nie rozmawiali. Nie było możliwe, żeby pani Marta podeszła bliżej. Patrzyła tylko na syna. Z odległości co najmniej kilku metrów.

Matylda Cygielman – matka Nimroda Szulema Cygielmana (Nimroda Ariava) (ur. 1905).
Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

Następnym razem mieli się spotkać dopiero po wojnie, w Lublinie.

Tymczasem zdarzyło się tak, że nie widząc innej możliwości, ranny Szulem w szpitalu zawołał po młodego doktora i powiedział:

– Panie lekarzu, pan widzi, z której ja jednostki jestem, bo koledzy przychodzili. Ja jestem Żydem, trzeba mnie umyć – wykrztusił. I dodał: – Jak mnie umyją sanitariusze, zobaczą, że jestem przecięty, powiedzą Niemcom. Zrób pan, co pan chcesz. Ja nie mogę nawet ręki podnieść.

Lekarz nie tylko dokładnie przemył rannego, lecz przeprowadził do pociągu. Choć dziś pan Ariav nazwiska doktora nie pamięta, to jest pewien jednego:

– Jeżeli żyję, to jemu to zawdzięczam – mógł to powiedzieć po wojnie do matki. Na pewno z warszawskiego szpitala trafił do tego w Krakowie. Razem z kolegami, którzy też byli ranni.

– I w Krakowie zostałem uwolniony przez Rosjan – mógł opowiadać dalej przed matką. Na pewno to wspomni po latach, lecz choć z krakowskiego szpitala ma zdjęcia, to nazwisk kolegów z Powstania Warszawskiego dziś już nie pamięta. Zachował jednak w pamięci wiele innych faktów. Jak ten, że został ranny na Starówce. Lecz choć próbował po latach znaleźć dokładnie to miejsce, nie mógł. Przeszedł Starówkę może z pięćdziesiąt razy, ale, jak sam twierdzi:

– Są rzeczy, które wychodzą z głowy i nie chcą wrócić – mówi dziś. Może gdyby przed laty o wszystkich tych zdarzeniach opowiedział choćby matce, to i dziś wiedziałby więcej. Jednak wtedy to były zbyt świeże rozmowy, a powojenne realia bynajmniej nie sprzyjały takiej rozmowie. Mógł najwyżej dodać przed matką, że jak wreszcie stanął na nogi, a wojna się skończyła, postanowił odnaleźć tych, którzy przeżyli z ich rodziny. I dalej:

– Pomyślałem, że muszę pojechać do Lublina, żeby kogoś znaleźć. I pojechałem pociągiem towarowym do Lublina. W Lublinie poszedłem do gminy i oni powiedzieli, że moja matka żyje – to możliwe, że tak powiedział przed matką. Może wtedy się uścisnęli. Żarliwie, ze łzami w oczach. Jak to bywa w filmach. Może jednak było zupełnie inaczej i w rzeczywistości z bagażem doświadczeń wojennych ich spotkanie było pozbawione aż tylu emocji? Tego nie wiemy. Pewne jest to, że po niespełna tygodniu to syn wpierw podjął kolejną decyzję. Brzmiała: wyjazd do Łodzi. W Lublinie był w środowisku Żydów, a nie chciał w nim być, tłumaczył.

Nimrod Szulem Cygielman (Nimrod Ariav) – od lewej, z kolegą na ulicy w Łodzi, 1945. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

W Łodzi pani Marta Cygielman, z domu Wajsbrodt ponownie wyszła za mąż, a jej syn Szulem spotkał kolegów z Warszawy. Z jednym z nich, szczupłym i o pociągłej twarzy szedł łódzkim chodnikiem. Szulem w prawej ręce ściskał aktówkę, która dodawała mu powagi. Obaj maszerowali równym krokiem. Szulem znany jemu, jak i innym kolegom z okresu wojny jako Henryk, nosił włosy zaczesane do tyłu. Miał elegancką jesionkę w odcieniu szarości, a kolega obok – czarny garnitur i koszulę. Obaj dumnie kroczyli, obaj pod krawatami. Wtem odezwał się Szulem i rzucił propozycję, by kolega, podobnie jak i kilku innych znajomych jeszcze z Warszawy odwiedzili go w domu. Ten o pociągłej twarzy uśmiechnął się szczerze. A Szulem się nie spodziewał, że to właśnie wtedy miało mieć miejsce zdarzenie, które na lata wpisze się w jego pamięć. Było to tak:

Gdy koledzy natknęli się na jego matkę i powiedzieli, że ona musi być Żydówką:

– Co, ty jesteś Żydem? – spojrzeli na niego.

Patrzył im w oczy i przyznał, że tak. Tak, jest Żydem, tego nie chciał się wstydzić.

A ponieważ to koleżeństwo nie było już nigdy potem takie samo jak przedtem, Cygielman zauważył, że to nie jest jego miejsce i pod koniec czterdziestego piątego roku zdecydował się opuścić Polskę.

Ubranie z UNRRY

W ubraniu z UNRRY wyjechał do Niemiec, do obozu dla przesiedleńców. Zapisał się na uniwersytet w Monachium i zaangażował się w działalność podziemnych żydowskich organizacji. Jedną z nich

była Hagana. A on wziął udział w nielegalnym przerzucie Żydów z Niemiec do Włoch, by któregoś dnia przyznać:

– Jest takie miejsce, do którego muszę pewnego dnia pojechać.

Kiedy dotarł do Francji, gdzie Hagana zorganizowała obóz szkoleniowy dla ludzi, którzy jechali do Izraela, został komendantem tego obozu i zaczął znowu mówić po hebrajsku:

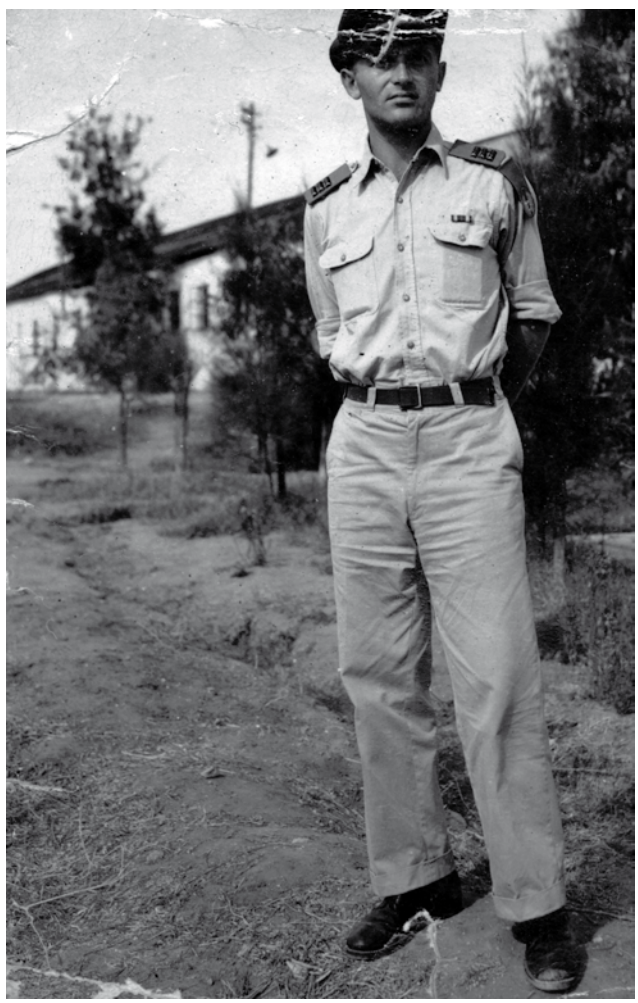

Kapitan Nimrod Szulem Cygielman (Nimrod Ariav), Izrael, 1952. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

– To ci chłopcy myśleli, że jestem z Izraela – opowiada po latach już jako Nimrod Ariav. Nazwisko, które przyjął w Izraelu.

Do Izraela wyjechał w czterdziestym ósmym roku. Trafił prosto do wojska, do lotnictwa.

14 maja 1948, zgodnie z decyzją ONZ, państwo Izrael proklamowało niepodległość, jednak okoliczne państwa arabskie odmówiły zaakceptowania planu i rozpoczęły wojnę, a w następnym roku lotnictwo posłało Ariava do szkoły w Ameryce. Wrócił po dwóch latach. Pracował przy samolotach jako mechanik. Przeszedł wszystkie rangi, od najniższej. Później został posłany do szkoły oficerskiej. Po siedmiu latach spędzonych w wojsku opuścił je w randze kapitana, by zacząć pracę w Israel Aircraft Industries. Gdy przyjmowano go do pracy w pięćdziesiątym czwartym roku, powiedział do prezesa IAI, że kiedyś będzie siedział na jego miejscu.

Kiedy odchodził z IAI jako senior vice president manufacurer w siedemdziesiątym trzecim roku, miał czterdzieści osiem lat i doświadczenie w nadzorze produkcji samolotów, a także wiedzę zdobytą podczas kilku wizyt w Stanach i we Francji. To mu pomogło, żeby razem z kolegami zbudować prywatną firmę, z oddziałami na całym świecie: USA, Wielka Brytania, Szwajcaria. Ową sprzedażą cywilnych samolotów zajmował się do czasu, kiedy zdecydował o wyjeździe z Izraela w 1987 roku, żeby mieszkać w Londynie:

– Bo tam mi było łatwiej pracować – wyjaśnia. – Ale w Izraelu byłem kilka razy do roku, bo zostały tam dzieci.

Synowie

Po raz pierwszy został ojcem w 1958 roku. Drugi syn urodził się w 1964. Obydwaj mają podwójne obywatelstwo. Są obywatelami francuskimi, bo ich matka jest Francuzką, i izraelskimi. Kiedy trzeba było pójść do wojska, zawołał ich w Izraelu attaché wojskowy francuski i spytał: „Gdzie chcecie służyć?". Powiedzieli: „W Izraelu". Jeden służył w marynarce, drugi w czołgach. Dlaczego? Bo ojciec był w lotnictwie.

Odette Ariav, żona Nimroda Szulema Cygielmana (Nimroda Ariava), 1972. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava.

– Chciałem, żeby i oni byli w lotnictwie – opowiada Nimrod Ariav. – Nie udało mi się. Po wojsku uczyli się, jeden i drugi.

Starszy pojechał do Ameryki i tam miał się kształcić przez kolejnych dziesięć lat. Drugi, po wojsku poleciał do Australii. Później też uczył się w Stanach.

To w Stanach zastała ich wiadomość od ojca z Londynu. Powiedział im Nimrod Ariav, że chce ich zabrać do miasteczka, skąd pochodziła ich rodzina.

Babki Marty z Bełżyc nie dane było im dobrze poznać. Mimo że i ona po wojnie wyjechała do Izraela, z drugim mężem, z którym nie miała innych dzieci. Była przedsiębiorczą kobietą, pracowała, miała pieniądze, wszystko inne, co trzeba, ale serce nie wytrzymało. Do końca życia nie zapomniała nigdy swojego drugiego syna. Były trzy godziny różnicy między Abrahamem a Szulemem. Marta zmarła w Izraelu, kiedy starszy syn Ariava miał dziesięć, jedenaście lat. Młodszy syn był wówczas pięcio-, sześciolatkiem.

Ponad dwadzieścia lat później:

– Rodzina mamy była bardzo bogata – spojrzał pan Ariav na syna, kiedy jechali do miasteczka. Na pewno to opowiada po wielu latach, ale to bardzo prawdopodobne, że dokładnie wtedy zdecydował się tę samą historię opowiedzieć też synom. – W Bełżycach mieli duży sklep bławatny. Mama miała, zdaje się, że dwóch czy trzech braci, i trzy siostry. Dokładnie nie pamiętam. Jedna z sióstr rodziła u nas, w Lublinie, przyjechała z Bełżyc do naszego mieszkania. Wówczas nie chodziło się do szpitala. I tam był także wujek mojej matki z trojgiem dzieci – dodał. Opowiadał też, co dalej, także o zdarzeniach z ciężkiego okresu. Tego, gdy przyszła wojna:

– Pewnego dnia ktoś powiedział, że będzie akcja i myśmy uciekli. Nie pamiętam gdzie – albo do Chełma, albo do Zamościa. To był 1940 rok. Wyjechał z nami także wujek mojej matki z trójką dzieci. Tam była dziewczyna starsza ode mnie, był chłopak w moim wieku i jeszcze dziewczyna o rok młodsza ode mnie. Podczas jednej akcji ich troje złapali i zabili. Widziałem, jak to się zdarzyło. A gdy wujek mojej matki zobaczył, że ja z bratem zostaliśmy żywi, to chciał nas zabić, naprawdę chciał nas zabić – przyznał. Zamilkł na kilka minut, a potem znów mówił. Powiedział:

– Pod koniec 1945 roku opuściłem Polskę. Do Polski wróciłem jeszcze raz, na początku 1946 roku.

Potem:

– Odciąłem się od języka polskiego, nie chciałem nic mieć z przeszłości – równie dobrze mógł przyznać (bo to zgodne z jego słowami po latach). I dalej:

– Nie mówiłem po polsku słowa, odkąd opuściłem Polskę. Żona jest Francuzką, kolegów nie miałem z Polski, bo jak się ma kolegów z Polski, mówi się po polsku, a ja nie chciałem. Mówiłem po hebrajsku. Pierwszy raz przyleciałem do Polski w 1963 roku. Mieliśmy z Polską umowę, że będziemy utrzymywać technicznie jej samoloty. Przylatywali tymi samolotami na naprawę. A ja przyleciałem do Polski kupić maszyny. Spędziłem tutaj tydzień, nieprzyjemny tydzień, bo chciałem także zobaczyć grób mojego ojca. I przyjechałem do Bełżyc. Wówczas był sołtys, przyszedłem do sołtysa, powiedziałem, że jestem wnukiem Szlamianki. Wiedział dokładnie, o kogo chodzi i bał się, że przyjechałem odebrać im to, co należy do mojego dziadka. To powiedział mi, że nie ma tutaj żadnego grobu, i to wszystko – wyrzucił mnie. To był 1963 rok. Do 1987 nie wie-

działem, co to Polska. Nie mówiłem po polsku nic. W 1987 roku, jak już byłem na własnym, nie pracowałem w IAI, prezes IAI, który był moim dobrym kolegą, zadzwonił do mnie do Nowego Jorku, żebym przyleciał na kolację z kimś, kim będę zainteresowany. Wziąłem samolot i przyleciałem. Kolacja była z prezesem PZL-u, panem Krężlewiczem. Przyszedłem na tę kolację, nie mówiłem słowa po polsku. I po dwóch butelkach wódki, zacząłem mówić po polsku. On mnie zaprosił do Polski. Mówiłem mu: „Ja mam paszport izraelski" – wówczas Polska nie miała z Izraelem stosunków dyplomatycznych. „Ja cię przyjmę". „Dobrze". Przyleciałem. Czekał na mnie na lotnisku. Chciał mi pokazać, co oni robią. Wydał dla mnie kolację w Łazienkach. I wtedy pierwszy raz postanowiłem powiedzieć kilka słów po polsku, przygotowałem się trochę. Ja sobie wówczas przypomniałem Asnyka, powiedziałem: „…a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę…". Wstał młody inżynier, bo tam byli wszyscy inżynierzy z PZL-u, i dokończył to. Zacząłem trochę mówić po polsku. I wówczas prosiłem go, żeby dał mi kierowcę, bo chcę szukać grobu mojego ojca. Nie znalazłem. Jakieś pięć razy przyjeżdżałem do Polski – nie znalazłem – kończył w drugiej połowie lat 80. Bo jak zakładamy, taka rozmowa między nim a synami mogła mieć miejsce.

Na horyzoncie było już widać stację paliw CPN. Do miasteczka wjechali ulicą Kazimierską. Minęli staw i dworzec PKS. Objechali rynek i kilka ulic przylegających do niego, a po pewnym czasie Ariav tłumaczył naczelnikowi, w budynku urzędu:

– Postanowiłem, że moi synowie powinni wiedzieć, co tu się działo. Nigdy w domu nie mówiliśmy o tym, nie chciałem o tym mówić – przyznał.

– Wtedy trochę bliżej się poznaliśmy – mówi po latach ówczesny naczelnik. – Powiedział, że chciałby od czasu do czasu przyjechać do Bełżyc.

Gdy pan Ariav spytał jeszcze, czy mógłby, jeśli oczywiście naczelnik by tam wtedy pracował, przychodzić do niego, wspominać, ewentualnie swoją rodzinę przywozić, pokazywać, naczelnik zapewnił, że pan Ariav zawsze będzie mile widziany jako były mieszkaniec Bełżyc, który tej swojej historii się nie wstydzi, a wprost odwrotnie.

A niedługo potem:

Powrót – ciąg dalszy

– Panie Abramowicz, czy ja mógłbym chwilę ze swoimi synami porozmawiać? – Nimrod Ariav spytał na miejscu dawnego kirkutu.

– Pamiętam – wspomina ówczesny naczelnik – to mi mocno utkwiło i mam ten widok w swoich oczach ciągle. Nie krępowałem [ich] swoją osobą, odszedłem na bok – dodaje. Przypuszcza, że to właśnie wtedy, kiedy pan Ariav objął synów obiema rękami, głowy przytulili do siebie i dość długo, nawet do dziesięciu minut coś im tam opowiadał, tłumaczył, że to dokładnie wtedy zapadła decyzja, którą potem przedstawił naczelnikowi.

Ariav powiedział, że chciałby ten kirkut odbudować. Dalej rozmawiali w Urzędzie Miasta.

– Panie Abramowicz, czy mógłby pan podjąć starania o trwalsze zabezpieczenie tego terenu?

Na co naczelnik, że nie ma uprawnień, żeby on tutaj o tym decydował, i jeśli pan Ariav się zgodzi: – Mogę podjąć rozmowy w Urzędzie Wojewódzkim na ten temat – zaproponował Abramowicz.

– Broń Boże – zareagował pan Ariav i wyjaśnił, że on nie chce tutaj robić niczego na siłę.

– Panie Abramowicz, ja to bym chciał jedno: tu nie będzie żadnego pomnika, chcę, żeby tutaj jakimś takim murem ogrodzić to wszystko. Natomiast ewentualnie taką tabliczkę bym umieścił od wewnątrz: że to jest miejsce pochówku mojego ojca i to jest miejsce pamięci dla mnie jako mieszkańca Lublina, później Bełżyc, i tego chłopaka 15-letniego, który tam wywoził tych pomordowanych. Ewentualnie, jeśli ktoś z innych Żydów by wiedział, że tutaj też są pochowani z jego rodziny, to niech sobie obok też małą tabliczkę umieści, żeby to miejsce się utrwalało.

Naczelnik dał słowo. Niedługo potem powiadomił ówczesnego wojewodę lubelskiego:

– Czy ja mogę być w kontakcie z Urzędem Wojewódzkim? – spytał bełżycki naczelnik w urzędzie w Lublinie. Tydzień później dostał stamtąd telefon, i usłyszał, żeby pan, o którym naczelnik miasta Bełżyce mówił, że niech ten pan Nimrod Ariav formalnie zacznie starania przez Komitet Walki i Męczeństwa…

– Zgoda władz wojewódzkich – i tym sposobem i miejskich – na to będzie – relacjonował potem naczelnik panu Ariavowi.

Tak, po wielu latach, pan Ariav jest wdzięczny naczelnikowi Abramowiczowi, który pomagał mu na miejscu, w Bełżycach. Ale składa też podziękowanie dwóm kolejnym panom: prezydentowi PZL Jerzemu Krężlewiczowi i redaktorowi Marianowi Turskiemu z „Polityki": – W Warszawie – podkreśla Nimrod Ariav – też trzeba było dużo robić.

Wówczas to właśnie redaktora Turskiego pan Ariav upoważnił do częstych kontaktów roboczych. Sam zaś napisał wtedy list do ministra. W ciągu tygodnia przyszła odpowiedź z zapewnieniem, że to miejsce będzie dla Polaków święte. Ariav rozpoczął starania o pozwolenie na postawienie żydowskiego kirkutu.

Wziął dwóch architektów z Warszawy. Nie chciał niczyjej pomocy, ni księdza, ni rabina. A w międzyczasie:

– Ja pieniądze mam i chcę Bełżycom pomagać – rzucił przed naczelnikiem. – Jeśli będziecie uważali za stosowne, wtedy, kiedy będziecie mieli potrzeby, chętnie was wspomogę – powiedział. Więc gdy wkrótce przyszła pilna potrzeba zakupu rentgena dla szpitala w Bełżycach, na prośbę naczelnika Ariav zakupił aparat rentgenowski izraelskiej produkcji.

Tymczasem uroczyste spotkanie z okazji zakończenia prac miało miejsce w październiku 1990 roku.

Wspomina Nimrod Ariav:

– Jak zrobiłem ten cmentarz, to przyszli do mnie ludzie i powiedzieli, że oni mają meble mojego dziadka.

Na pytanie, czy chce je kupić, odpowiedział, że nie:

– Nie chcę kupić, zostawcie to sobie – powtórzył. – Tylko ten świecznik – zastrzegł, i niczego więcej nie chciał oglądać: – Sprzedajcie, zróbcie, co chcecie – tłumaczył.

– Zrobiłem jedną niepotrzebną rzecz, że go osrebrzyłem, bo on był czarny, powinienem zostawić go czarny – dodaje po latach.

Świecznik po dziadku postawił w biurze w Londynie.

Hotel „Crion"

Kiedy któregoś dnia z Londynu przyjechał na spotkanie do Paryża i usiadł przy stoliku w tamtejszym hotelu „Crion", nawet w najśmielszych myślach nie mógł przypuszczać tego, co miała przynieść tamta rozmowa.

Na stoliku leżała „Herald Tribune", a naprzeciw siedział mężczyzna. Jeśli Ariav był wtedy lekko po sześćdziesiątce, to tamten z drugiej strony stołu miał jakieś czterdzieści kilka lat. Obaj mówili po hebrajsku. To ze strony tamtego – tamtego młodszego – padła propozycja spotkania w Paryżu celem pokazania kilku obrazów. Pan Ariav jest miłośnikiem i kolekcjonerem sztuki, jednak ponieważ wówczas nic nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia i najwyraźniej był już znużony, wtem, bez namysłu rzucił pytaniem:

– Słuchaj pan, miałem znajomą, dostarcz mi tę książkę albo po francusku, albo po angielsku. Tak spytał, bo byli przecież we Francji.

Czterdziestokilkulatek ożywił się momentalnie: – Co powiedziałeś? Jakie nazwisko?

– Anna Langfus – powtórzył Ariav.

A tamten jeszcze bardziej zbladł: – Skąd ty do pani Langfus? – aż zaczął drżeć.

– To był kwiecień, 1943 rok – odpowiedział. To czy z taką dokładnością zdradził historię przed tamtym czterdziestokilkulatkiem, to przypuszczenie, lecz całkiem możliwe. To mówi pan Ariav po latach, ale tamte okoliczności były na tyle odpowiednie, że i wtedy mógł dalej mówić. Bo to wtedy wróciły wojenne wspomnienia:

– I brat ze mną, i taki jeszcze nasz znajomy z żoną, mieliśmy mieszkanie przy ulicy Siennej. Oni byli także z Lublina – Rajsowie. Ona uchodziła za Francuzkę. Po kilku miesiącach ktoś powiedział, że tam mieszkają Żydzi. Złapali mojego brata i tego gościa, a jego żonę – nie. I zabili ich. Zmieniłem mieszkanie i zmieniłem nazwisko. I tę panią Rajs znałem. Ta pani przeżyła wojnę, wyjechała do Francji, wyszła za mąż. Ja od czasu do czasu przyjeżdżałem zobaczyć, jak się ma. Ona zaczęła pisać. W 1960 roku napisała książkę, za którą dostała Prix Goncourt. To była Anna Langfus. Raz szła ulicą w Warszawie, a w Warszawie chodziły patrole, dwóch – czterech Niemców. Jeden stanął i mówi: „Anna, ja cię znam, chodziłem razem z tobą do szkoły". Ona na to: „Ty mnie nie znasz, ja nie chodziłam do tej szkoły". Ten skurczysyn wydał ją, poznał, ale ona wyszła z tego cało. Spotykałem ją od czasu do czasu. Raz się spotkaliśmy w Warszawie i widzę, że ktoś za nami idzie, to powiedziałem: „Anna, dojdziemy do rogu, ty na prawo, ja na lewo i uciekamy". I tak zrobiliśmy. Jeden zaczął za mną lecieć, jeden za nią. Chwycił mnie za rękę, a ja mu powiedziałem: „Proszę bardzo, won!". I uciekłem. Anna także uciekła. Później jeszcze spotkaliśmy się kilka razy. A potem, od powstania – nic. Po wojnie dowiedziałem się, że Anna jest w Paryżu. I wówczas przyjechałem do Paryża, żeby ją zobaczyć. Była smutna. Poznała jakiegoś gościa. On był inżynierem. Nazywał się Langfus. Wyszła za mąż, miała syna. Zaprosiłem ją, żeby przyjechała do Izraela – przyjechała raz, nie chciała więcej. Słyszałem o tym, że dostała Prix Goncourt. Prosiła mnie, żebym czytał jej książki. Nie mogłem, nie chciałem.

Kiedyś byłem na kolacji w Londynie. Siedzi koło mnie kobieta. Młoda. Rozmawiamy i ona mówi, że chodzi na uniwersytet i studiuje Holocaust. Powiedziałem jej: „Słuchaj, zrób mi przysługę. Była pani Langfus. Ona otrzymała Prix Goncourt. Ja nie wiem, za jaką książkę. Zawsze chciała, żebym ją przeczytał. Znajdź mi, co to jest". Dwa miesiące później ona dzwoni: „Pani Langfus dostała Prix Goncourt

w 1960 [1962] roku, książka została przetłumaczona na angielski w tym i w tym roku, pod tym numerem możesz ją dostać".

Dwadzieścia lat później dzwoni do mnie „gość" z Izraela, chce się spotkać w Paryżu, pokaże mi kilka obrazów. W porządku, ja się spotkam – powiedział Nimrod Ariav. Dalej nie musiał nic więcej mówić, bo i owym „gościem" z jego historii był czterdziestokilkulatek z naprzeciwka, któremu reszta historii była dobrze znana. Jeszcze tylko Ariav spojrzał na niego i rzucił pytaniem:

– A skąd ty do pani Langfus?! – Ariav nie mógł poskładać faktów. – Ty nie masz tyle lat. Pani Langfus była starsza ode mnie, to skąd ty?

Trwało to kilka minut, zanim się uspokoił. Potem wyjaśnił, opowiedział, że był studentem w Paryżu: – Anna opuściła męża, opuściła syna, opuściła wszystko – mówił. A gdy dodał, że Anna umarła na jego rękach, tym razem to Ariava zmroziło. Na wiadomość, że Anna nie żyje o mało nie dostał ataku serca. Obaj byli już całkiem biali z emocji:

– Anna. Nie do uwierzenia – powiedział Ariav.

Gdy jakiś czas potem, za zamkniętymi drzwiami londyńskiego mieszkania zostawił na biurku książkę autorstwa Anny Langfus, którą przysłał mu spotkany niedawno czterdziestokilkulatek, nie było pewne, że o pisarce będzie miał mówić znowu. Przecież nie wiedział, że o pisarkę zostanie zapytany w Lublinie. Tak się zdarzyło, a on odpowiadał:

– Przysłał mi książkę, którą Anna Langfus mu podpisała – rzeczywiście, tak po tym jak padło pytanie o pisarkę Nimrod Ariav kilka lat potem odpowiadał na prośbę pracownika Historii Mówionej

w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Mówił mu Ariav o paryskim spotkaniu z czterdziestokilkulatkiem w Lublinie, by dodać:

– To jest pierwszy raz, po tylu latach, że ja siedzę tutaj z kimś i mówię o tych czasach – przyznał, bo rzeczywiście to w Bramie Grodzkiej opowiadał pełną historię swojego życia. – No oczywiście, mówiłem tylko trochę o tym – ta historia, inna historia, opowiadam je. Ja mam jeszcze inne historie, z mojej pracy. Ja byłem na wszystkich wojnach Izraela, pracowałem z wieloma ludźmi, poznałem dużo wybitnych ludzi. A to wszystko, co to jest – nie wiem. Gdybym sam nie osiągnął i nie chciał tego…

Nimrod Ariav i Tomasz Pietrasiewicz podczas spotkania w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Fot. Marcin Fedorowicz, 2009.

A kończąc rozmowę Nimrod Ariav powiedział jeszcze do młodych:

– Sądzę, że nigdy nie byłem człowiekiem, na którego się patrzy i mówi: „Chciałbym być taki, jak ty jesteś". Nie mogę powie-

dzieć młodym ludziom, jak robić, co robić; ja także moim synom nie mogę tego powiedzieć. Ale jedną rzecz powiem: ucz się, ucz i – co najważniejsze – daj część z siebie innym: ludziom innej wiary, ludziom innej krwi, bo dzisiaj nie ma miejsce na: „On jest żydem, a ja jestem prawosławny, a ten jest luteraninem…" – nie ma na to miejsca. Bądź człowiekiem. Będziesz pracować i będziesz miał trochę szczęścia, to dojdziesz do czegoś, czego ty chcesz – jeżeli wiesz, czego chcesz. Bo ja przeszedłem życie i widziałem dużo ludzi, którzy nie wiedzieli, czego chcieli. I tak przeszli przez swoje życie… Oni nie wtargnęli do życia, oni przeszli tak obok, albo na górze tak, ponad. A trzeba wtargnąć, trzeba poznać, co to jest, trzeba czuć.

Film

W listopadzie 2005 roku film z nagraniem relacji Nimroda Ariava oglądali młodzi ludzie z działającej przy Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" Akademii Obywatelskiej.

„…I tak przeszli przez swoje życie. Oni nie wtargnęli do życia – oni przeszli tak obok albo na górze tak, ponad. A trzeba wtargnąć, trzeba poznać, co to jest, trzeba czuć" – słuchali, co mówił Nimrod Ariav do kamery. A potem wysłali do niego list oraz kasetę z zapisem własnych wrażeń i refleksji.

Napisała Kasia:

> „Dziękuję za coś ważnego, za fragment historii, której nie byliśmy świadkami, i za przesłanie o tolerancji".

Co dalej, czytał Ariav. Pisała Anna:

> „Na pewno jest to dla mnie bardziej znaczące niż książki, które przeczytałam o historii Polski, o stosunkach polsko-żydowskich, bo to, co Pan przeżył, pokazuje nam, jak naprawdę wyglądały te stosunki, jak wyglądało życie człowieka. Chciałam za to podziękować. Mam nadzieję, że więcej osób będzie mogło obejrzeć ten wywiad i dowiedzieć się tego, czego ja się dowiedziałam".

Napisała też Agata:

> „Bardzo chętnie chciałabym uczestniczyć w spotkaniu z Panem, myślę, że wiele rzeczy mogłabym dowiedzieć się od Pana. To, co można usłyszeć od osoby, to jest zupełnie coś innego niż to, co można poczytać w książkach".

To wybrane fragmenty wypowiedzi młodzieży. Nimrod Ariav czytał jeszcze zbiorczy list, pod którym podpisały się trzydzieści trzy osoby i który kończyły słowa:

> „Akademia w swoich działaniach łączy to, co przeszłe, z tym, co teraźniejsze. Staramy się kontynuować misję Ośrodka – wypełnianie pustki. Z mozaiki myśli ludzi rozproszonych, zaginionych, niepamiętających próbujemy odtworzyć tamten czas dokonany. To trudne zadanie, tym bardziej dziękujemy za podzielenie się z nami swoją historią. Jednocześnie pragniemy zaprosić Pana na spotkanie z nami, na którym nam zależy".

13 lutego 2006 roku Nimrod Ariav przyjechał do Lublina i rozmawiał z młodzieżą:

– Dla moich przyjaciół jestem Zigi, tak że tak mnie, proszę, wołajcie. A teraz – zaczynajcie. Odpowiem na wszystko, o co zapyta-

cie. Wczoraj byłem w Warszawie i kolega mnie spytał, czy przygotowałem się do tego spotkania. Powiedziałem: nie. Bo nie mam się z czego przygotowywać. Ja tu nie przyszedłem do was przemawiać: ja chcę usłyszeć, o co mnie spytacie, a żeby na to odpowiedzieć, nie potrzebuję się przygotowywać. Ja wam opowiem, co przeżyłem – jeżeli chcecie, i co czuję – jeśli tego chcecie.

Spotkanie z Nimrodem Ariavem w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Fot. Marcin Fedorowicz, 2009.

Olga Grzesiuk:

– Ja od 12 grudnia myślę o tym początku, czyli odkąd napisaliśmy ten list do Pana. Bo cóż można powiedzieć? Przede wszystkim to, że dla nas było ogromnym zaskoczeniem obejrzenie tej rozmowy, którą przeprowadził z Panem pan dyrektor Pietrasiewicz[27]. I proszę nam wierzyć: to, co Pan mówi, jest dla nas bardzo, bardzo ważne. Dla tego miejsca i dla ludzi, którzy się tutaj znaleźli – czasem przypadkowo, ale jednak wydaje mi się, że nieprzypadkowo – to kwestia bardzo istotna. I cieszę się, że jest Pan z nami.

27 Tomasz Pietrasiewicz, dyrektor Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN".

Nimrod Ariav:

– Dziękuję.

Anna Dąbrowska:

– Wydaje mi się, że w ogóle zaprosiliśmy Pana tutaj po to, żeby Pan nam opowiedział, w jaki sposób rozmawiać o tym, co przeżyło Pańskie pokolenie, z takimi ludźmi jak my. W jaki sposób nawiązać ten dialog, który rozgrywa się jak gdyby na dwóch różnych krańcach tej przepaści – tych iluś tam lat po wojnie.

Nimrod Ariav:

– Ja nie mam odpowiedzi dla pani, jak to trzeba zrobić i czy trzeba to zrobić. Ja sądzę, że popełniłem błąd, że nie mówiłem o tym w domu. Prosili mnie, żebym chodził do szkół, żeby uczniom przekazać, co tu było. Nie chciałem. Nie chciałem w ogóle o tym mówić. W 1988 roku – miałem już jakieś sześćdziesiąt kilka lat – po raz pierwszy z moimi synami mówiłem o tym, co tutaj było. Zaprosiłem ich wtedy do Polski, żeby pokazać i powiedzieć im, gdzie ich korzenie i co tutaj było – przez moje oczy. Każdy może zinterpretować to, jak chce. I oni słuchali i nic nie powiedzieli. Niczego od nich nie usłyszałem przez jakiś rok. Bo później wyjechali z powrotem do szkoły, a ja wróciłem do Anglii, gdzie już wówczas mieszkałem. Jedną rzecz razem zrobiliśmy: pojechaliśmy szukać grobu mojego ojca – dzisiaj stoi tam kirkut żydowski. Co roku od tego czasu, od 1990 roku, rodzina moja, koledzy, znajomi przyjeżdżają ze mną do Bełżyc, i wówczas nie ma księdza i nie ma rabina. Moi synowie i synowe mówią albo wiersz, albo coś z Biblii – oni sami muszą zdecydować. Ja mówię kadisz, modlitwę za zmarłych. Składamy kwiaty i cisza.

Nimrod Ariav z rodziną i przyjaciółmi składa kwiaty na cmentarzu żydowskim w Bełżycach. Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

Powrót – ciąg dalszy

Mundrzi Mercoy[28]: – Nazwałbym go wzorem do naśladowania dla młodego pokolenia.

– Kolejna pomoc z jego strony – mówi Bogdan Abramowicz[29] – to, dla przykładu, pracownia komputerowa w Zespole Szkół przy ulicy Biskupa Wilczyńskiego, pracownia komputerowa w Zespole Szkół imienia Mikołaja Kopernika, pomoc w zakresie ocieplenia i wymiany stolarki okiennej w Zespole Szkół przy ulicy Biskupa Wilczyńskiego, zakup samochodu, kolejne pieniądze na zakup sprzętu dla szpitala w Bełżycach. Praktycznie co roku pan Ariav

28 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.

29 Za: Archiwum Teatru NN. Z Bogdanem Abramowiczem rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

zostawia jakieś środki, daje na pilne potrzeby związane z miastem Bełżyce. Wiem, że nigdy nie odmówił takiej pomocy i wiem, że dalej nie odmawia, natomiast jakie to były środki, na co w szczegółach zostały przeznaczone, to wołałbym, żeby to pan Ariav się wypowiadał bądź ewentualnie inni burmistrzowie, którzy kierowali życiem bełżyckim od dziewięćdziesiątego roku. On się czuje mieszkańcem i na to go stać – i on te środki, większe czy mniejsze, zawsze daje. Ja starałem się, by w swoich prośbach skromnych, zawsze mu mówić, co chcemy zrobić, jakie pieniądze to ma kosztować – i widziałem z jego strony, że cieszył się, że może nas wesprzeć. Uważam, że wszystko jedno, kto będzie burmistrzem w Bełżycach, jaki będzie skład rady, powinniśmy go tutaj zawsze witać jako tego – jak ja to nazywam – dobrodzieja Bełżyc. Z tych spotkań corocznych widzę, że już bardziej w to angażuje swoich synów, szczególnie pana Ariela mocno angażuje w to, żeby kontynuował to jego dzieło. Jego synowie ciągle podkreślają, że tak jak ojciec tutaj rozpoczął, tak oni będą tę współpracę z Bełżycami kontynuować i będą starać się co roku przyjeżdżać.

Nimrod Ariav z synami – Arielem i Avim – na bełżyckim kirkucie. Fot. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava, rok 2012.

– Historia mojego ojca jest bardzo osobista – mówi syn Nimroda Ariava, Avi[30]. – Można powiedzieć, że się z nią wychowałem, a szanując ojca, szanuję i jego historię. Ale nie mam z tego powodu koszmarów. My – młodzi – staramy się patrzeć na to bardziej pozytywnie. Przyjeżdżając na cmentarz bełżycki, zdaliśmy sobie sprawę, że w Warszawie też można robić interesy. Tak przeszłość zaowocowała w przyszłości. Dzieci wróciły i pracują w Polsce, tak jak by pracował – być może – ojciec, gdyby to wszystko się nie wydarzyło. Żydzi mawiają: „Jeśli zapomnę Jerozolimę, niech mi uschnie prawa ręka!". Myślę, że część Żydów tak samo mocno związana była kiedyś z kulturą polską. Po tym, jak odeszli, pozostała pustka… Może Polacy nie odczuwają potrzeby jej zapełnienia, jestem jednak przekonany, że do kultury i do codziennego życia każda mniejszość dodaje swój

Nimrod Ariav z synem Avim, synową Agatą i wnukami – Danielem i Mayą – podczas uroczystości na cmentarzu żydowskim w Bełżycach. Fot. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava, rok 2014.

30 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.

smak, swoją tradycję. Życie staje się ciekawsze, gdy jest różnorodne. Jest więc chyba ważne, abyśmy my wrócili tutaj, bo wtedy wy odzyskalibyście część swojej duszy.

Nimrod Ariav z wnuczką Morr na bełżyckim kirkucie. Fot. Archiwum rodzinne Nimroda Ariava, rok 2011.

Innym razem:

– No właśnie, miałem okazję wziąć udział kilka lat temu w tych uroczystościach, i pamiętam, że takich zwykłych, w cudzysłowie, typowych mieszkańców Bełżyc chyba nie było – spytał Tomasz Czajkowski, pracownik Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN"[31]. Patrzył wtedy na byłego naczelnika miasta i gminy Bełżyce: – Tak że mnie to tak zastanowiło, czy to jest uroczystość organizowana tylko dla przyjaciół, rodziny pana Ariava, ewentualnie władz miasta, czy dla mieszkańców Bełżyc.

31 Za: Archiwum Teatru NN. Z Bogdanem Abramowiczem rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

Rodzina i przyjaciele Nimroda Ariava na kirkucie w Bełżycach. Fot. Piotr Sztajdel, 11.09.2006.

– Ja to tak skomentuję – odpowiedział Bogdan Abramowicz, naczelnik miasta i gminy Bełżyce w latach 1982–1990[32] – domyślam się, że pan tutaj był pewnie albo pod koniec lat 90., albo już na początku obecnego stulecia. Tutaj nie było robionych uroczystości poświęconych Żydom, czy jakichś wspólnych uroczystości polsko-żydowskich, bo pan Ariav sobie tego nie życzy. On powiedział, że chce skromnie: nie chce tutaj robić czegoś takiego pod publiczkę – to jest jego prywatna sprawa, jego przyjaciół; chce to po prostu utrwalić jako miejsce, gdzie będzie mógł przyjeżdżać na cmentarz [zabierając] swoich bliskich z rodziny. I tak to traktowaliśmy. (…) Obecnie to są takie rodzinne spotkania przyjaciół pana Ariava, w rocznicę mordu.

Poza macewą z czarnego marmuru, gdzie zapisano: „Pamięci tych wszystkich, którzy pochowani zostali w tym miejscu", dobroczyńca

32 Za: Archiwum Teatru NN. Z Bogdanem Abramowiczem rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

cmentarza, Nimrod Ariav, umieścił też tablicę poświęconą pamięci swojego ojca:

> Na tym cmentarzu żydowskim wraz z moim bratem Abrahamem zamordowanym później przez Niemców oraz z innymi Żydami, którzy wówczas ocaleli z pożogi, pochowałem mojego ojca Arie-Lejba Cygielmana rozstrzelanego przez hitlerowców na placu przed bożnicą wraz z innymi 149 Żydami 2 października 1942 roku.

Tablice upamiętniające pochowanych na kirkucie w Bełżycach. Fot. Joanna Zętar, Piotr Sztajdel, 2009.

– Tu były tylko drzewa – Nimrod Ariav patrzy spod okularów i dalej mówi o kirkucie bełżyckim[33] – żadnej macewy, nic. To był plac zabaw dla dzieci, a w piątki odbywały się „świńskie" targi. I tak zacząłem drogę przez mękę, żeby odzyskać ten teren. Najpierw uzyskałem papier zabraniający zabudowy tego terenu. W ciągu kolejnego roku dostałem inne pozwolenia i zaczęła się budowa. To bardzo prosta rzecz – nie chciałem naruszać otoczenia. Przez czternaście lat wszystko było w porządku, ale w tym roku wandale wyrwali brązowe litery. Te, które są teraz, są z kamienia i mam nadzieję, że już tu pozostaną. Niech ci ludzie leżą w końcu w spokoju. Ten kamień jest dla wszystkich tu pogrzebanych. Nie wyszczególniłem mojego ojca – to nie jest moje miejsce. Ja tylko pomagałem je odbudować. Każdy tu może wejść…

PS

W 2015 przy bramie cmentarnej postawił swój rower Wołodymyr. Przypomnijmy, Wołodymyr to młodzieniec, który w lubelskim Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN" przebywa na stypendium w ramach współpracy polsko-ukraińskiej. Kiedy tamtego dnia przyjechał do Bełżyc rowerem, zwiedzał miasteczko z aparatem fotograficznym. Zrobił też zdjęcie przy bramie.

Po powrocie do Lublina Wołodymyr siada przy komputerze:

„Wejście na cmentarz" – Wołodymyr wstukuje w klawiaturę opis do tamtego zdjęcia. Fotografię bramy cmentarnej publikuje w internetowej encyklopedii. Zdjęcie „wisi" obok hasła: „Nowy cmentarz żydowski w Bełżycach". Obok jest informacja: „Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku dzięki staraniom Szulema Cygielmana teren kirkutu został uporządkowany i ogrodzony".

33 Fragment reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquement, „Powrót", Radio Lublin 2003.

Tekst powstał przede wszystkim na podstawie relacji Nimroda Ariava zarejestrowanej w ramach Programu Historia Mówiona, realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie. Rozmawiali: Tomasz Pietrasiewicz, Tomasz Czajkowski, 2008. Archiwum TNN.

Korzystałam również z rozmowy z Bogdanem Abramowiczem, naczelnikiem miasta i gminy Bełżyce w latach 1982–1990. Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008. Archiwum TNN.

Opis kamienicy przy Nowej 17 na podstawie materiałów z Archiwum Państwowego w Lublinie, zespół „Inspekcja Budowlana miasta Lublina 1926–1950" sygn. 3309 [za:] Baum Marzena, Dom Nimroda Ariava w Lublinie. [w:] Historie z Bramy nr 1. Nimrod Ariav, wyd. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".

WYWIAD
Z BOGDANEM ABRAMOWICZEM

Rozmowa z Panem Bogdanem Abramowiczem (ur. w 1943), rodowitym bełżyczaninem, naczelnikiem miasta i gminy Bełżyce w latach 1982–1990.

Czy Pana rodzice albo dziadkowie opowiadali Panu o dawnych Bełżycach? Mam tutaj na myśli w szczególności wielokulturową przeszłość tego miasta.

Dom rodzinny mojego ojca był bardzo blisko bożnicy, łaźni żydowskiej, tego kirkutu leżącego przy Rynku bełżyckim, i siłą rzeczy, ojciec – jako tam mieszkający – i jego cała rodzina mieli bardzo bliskie kontakty z Żydami przed II wojną światową. Chodzili razem do szkoły, bawili się jako dzieci i niejednokrotnie ojciec opowiadał mi o tym. Bardzo często jako młody chłopak, ciekawy życia bełżyckiego, pytałem i rodzice mówili mi o tych właśnie swoich wspomnieniach, podając różnego rodzaju nazwiska. Na Rynku było bardzo dużo sklepików, najczęściej prowadzonych właśnie przez Żydów.

Czy Pan, jako dziecko, chodził na teren byłego cmentarza żydowskiego? Jak go Pan zapamiętał?

Tereny cmentarzy żydowskich to są takie tereny, które po II wojnie światowej były bardzo często zaniedbane – bo wiemy, jak to wszystko się w Polsce odbywało: służyły na różnego rodzaju cele. Kiedy byłem młodym chłopcem, nieraz się poszło w tamtym kierunku, czy grało z chłopakami w piłkę. Częściowo, od strony Bełżyc, teren ten był ogrodzony, były tam pojedyncze drzewa, natomiast w dalszej części, przynajmniej jak ja pamiętam, był to teren wolny. Z czasem, kiedy powstał powiat bełżycki, Gminna Spółdzielnia dostała polecenie, aby przy tej ulicy budować całą swoją bazę – i faktycznie powstała

tam baza, która jest do dzisiaj. Natomiast ta część ogrodzona siatką, zabezpieczona w pewnym stopniu, nie była użytkowana. Wszyscy o tym wiedzieli, że to jest cmentarz żydowski, a u nas, w potocznej mowie, to się nazywało: kirkut żydowski.

Proszę opowiedzieć, jak Pan zapamiętał swoje pierwsze spotkanie z panem Ariavem Nimrodem?

Już nie pamiętam, w którym to było roku, ale chyba w 1986–1987, może w 1988. Byłem wtedy naczelnikiem, przyjechał do mnie pewien pan, który przedstawił się jako ten, który przebywał w Bełżycach w trakcie wojny, a urodził się w Lublinie; i powiedział, że miał rodzinę w Bełżycach, a właściwie dziadków. Bardzo przyjemny, bardzo skromny człowiek. Przedstawił się taką łamaną troszeczkę polszczyzną, zapytał, od kiedy tutaj pracuję i czy znam trochę Bełżyce. Jak mu powiedziałem, że jestem rodowitym bełżyczaninem, urodziłem się w 1943 roku, powiedziałem, gdzie mieszkał mój ojciec, gdzie jego dom rodzinny był – wtedy zapytał, czy może mi opowiedzieć swoją historię. Jak się rozpoczęła II wojna światowa, kiedy hitlerowcy zaczęli niszczyć narodowość żydowską w Lublinie (a on mieszkał gdzieś na Starym Mieście, tam mieli swój dom rodzinny), to przenieśli się do dziadków w Bełżycach. Jego dziadkowie – jak mi mówił – mieszkali w Rynku. Po jego przyjeździe do Bełżyc stało się jeszcze większe nieszczęście, bowiem był wtedy mord na ludności żydowskiej, który odbył się przy obecnej ulicy Tysiąclecia: z tyłu, za bożnicą, obok łaźni żydowskiej – tutaj hitlerowcy rozstrzelali bardzo dużo Żydów. Jak pan Ariav mi powiedział, miał on wtedy 15 lat i z grupką chyba 3 czy 5 swoich kolegów wywoził na taczkach zamordowanych na kirkut żydowski. Jak mi wtedy powiedział – to było u mnie w Urzędzie Miejskim: „Ja mniej więcej pamiętam, że to była ulica, która przy tym miejscu zbrodni biegła wzdłuż; szliśmy tą ulicą w kierunku południowo-zachodnim, następnie główną ulicą Bełżyc. Wieźliśmy te trupy na taczkach i wyjechaliśmy za Bełżyce, i było takie rozwidlenie: my

pojechaliśmy prosto na ten cmentarz, a po prawej stronie – tak pan Ariav mówił – wydawało mi się, że tam cmentarz katolicki był". I faktycznie, przecież znając Bełżyce wiedziałem, że ten człowiek mówi prawdę, którą wtedy po raz pierwszy usłyszałem od niego i tym się zaciekawiłem. I okazuje się – jak mi mój ojciec, już nieżyjący, opowiadał – że [ojciec] znał jedną z córek dziadka pana Ariava, z którą spotkałem się później, kiedy ona pewnego roku przyjechała na spotkanie rocznicowe, przywieziona przez pana Ariava. I później dopiero skojarzyłem, że to była ta dziewczynka, o której mój ojciec mówił, że nieraz bawili się i znał ją jeszcze ze szkoły.

Następnie wyszliśmy z mojego pokoju i poszliśmy na obecny teren obok Domu Kultury, i pan Ariav sobie przypomniał, że to było w tym miejscu, to rozstrzelanie, i pokazał mi, w którym kierunku wywozili tych ludzi. Faktycznie to było ulicą Tysiąclecia, następnie ulicą obecną Krakowską (dawniej się nazywała Urzędowska); i później, wzdłuż tej ulicy Urzędowskiej, doszli do skrzyżowania z obecną ulicą Biskupa Wilczyńskiego i ulicą Kościuszki, i poszli na wprost. Wozili zwłoki tych pomordowanych właśnie na cmentarz żydowski, natomiast w prawo, rzeczywiście, przy ulicy Kościuszki, jest cmentarz katolicki. Dość długo rozmawialiśmy wtedy z panem Ariavem, a potem chciał się przejść troszkę wokół Rynku, więc ja go tak zapytałem: „Czy pan mniej więcej pamięta, w którym miejscu ten dziadek mieszkał?". On mówił: „Wie pan, dokładnie nie pamiętam, ale spróbujmy, jeśli pan ma czas". Oczywiście, że ja czas znalazłem i przeszliśmy się wzdłuż całego Rynku. Kiedy szliśmy już pierzeją rynkową od naszego kościoła, a więc stroną zachodnią Rynku, i kiedy zbliżaliśmy się już do skrzyżowania z ulicą Zieloną, pan Ariav mówi: „To gdzieś tutaj, w tym miejscu będzie". I doszliśmy prawie do skrzyżowania z ulicą Zieloną i pan Ariav mówi: „To tutaj mieszkał mój dziadek". Więc ja od razu też wtedy zapytałem: „Może spróbujemy porozmawiać z mieszkańcami Bełżyc na ten temat?". I wtedy zapytałem takich pań, rodowitych bełżyczanek, które sobie tam siedziały przy swoich domach, czy przypominają

sobie rodzinę pana Ariava. On zaczął rozmawiać z nimi i, faktycznie, te panie potwierdziły, że tutaj mieszkał dziadek pana Ariava. Więc potwierdziła się ta wersja, że rzeczywiście jest to człowiek, który związany jest z Bełżycami, ma tutaj swoje korzenie ze strony dziadków. Wtedy trochę bliżej się poznaliśmy – przedstawił mi, co robi, czym się zajmuje, powiedział, że chciałby od czasu do czasu przyjechać do Bełżyc. Zapytał, czy mógłby ewentualnie, jeśli oczywiście bym tam wtedy pracował, przychodzić do mnie, wspominać, może ewentualnie swoją rodzinę przywozić, pokazywać. Więc oczywiście zapewniłem, że zawsze będzie mile tutaj widziany jako były mieszkaniec Bełżyc, który tej swojej historii się nie wstydzi, a wprost odwrotnie. Później potoczyły się tak jego losy dalsze, że bardzo mocno związał się z Bełżycami.

Warto też opowiedzieć o tym, że pan Ariav, jak był na cmentarzu, postanowił doprowadzić do jego zabezpieczenia. W związku z tym podjął pewne działania i również z Pana pomocą je zrealizował. Czy mógłby Pan opowiedzieć o tym właśnie, kiedy Pan się w ogóle dowiedział, że on ma takie zamierzenie? Czy on postanowił to tego pierwszego dnia, kiedy poszliście razem na ten cmentarz?

To jest dalsza historia. Pan Ariav w następnym roku przyjechał ze swoimi synami – jeden może miał ze 22 lata, drugi młodszy był. Przyszli do mnie, powiedział, że przywiózł swoich synów, których chce zapoznać ze swoją historią i z historią swojej rodziny w Bełżycach. Poprosił, czy mógłbym ich zawieźć na ten cmentarz żydowski, na miejsce pochówku jego dziadków. Oczywiście pojechaliśmy tam i on pokazał to miejsce tym swoim synom. Pamiętam – to mi mocno utkwiło i mam ten widok w swoich oczach ciągle – poprosił mnie o taką rzecz, mówi: „Panie Abramowicz, czy ja mógłbym chwilę ze swoimi synami porozmawiać?". Nie krępowałem [ich] swoją osobą, odszedłem na bok. A on tak objął tych synów obiema rękami, głowy przytulili do siebie i dość długo, może około 5 do 10 minut, coś im tam opowiadał, tłumaczył. I chyba wtedy zapadła ta decyzja, że oni to

będą chcieli odbudować. Ja do dzisiaj to pamiętam. Od razu też sobie pomyślałem, jako ojciec rodziny, jak ja bym zareagował – czy nie tak samo, gdybym był na jego miejscu.

Później wróciliśmy do mnie, do Urzędu Miejskiego, zaczęliśmy dalej rozmawiać. I on wspomniał mi, czy mógłby robić starania o trwalsze zabezpieczenie tego terenu. Więc ja mu powiedziałem (przypominam, to była końcówka lat 80. – wiemy, jak to się wtedy odbywało), że nie mam uprawnień, żebym ja tutaj o tym decydował, i że jeśli się zgodzi, mogę podjąć rozmowy w Urzędzie Wojewódzkim na ten temat. On mi powiedział, że broń Boże, on nie chce tutaj robić czegoś na siłę. Mówi: „Panie Abramowicz, ja to bym chciał jedno: tu nie będzie żadnego pomnika, chcę, żeby tutaj jakimś takim murem ogrodzić to wszystko. Natomiast ewentualnie taką tabliczkę bym umieścił od wewnątrz, że to jest miejsce pochówku mojego ojca i to jest miejsce pamięci dla mnie jako mieszkańca Lublina, później Bełżyc, i tego chłopaka 15-letniego, który tam wywoził tych pomordowanych. Ewentualnie, jeśli ktoś z innych Żydów by wiedział, że tutaj też są pochowani z jego rodziny, to niech sobie obok też małą tabliczkę umieści, żeby to miejsce się utrwalało". Jak mu obiecałem, powiadomiłem ówczesnego wojewodę lubelskiego, że coś takiego jest i czy ja mogę być w kontakcie z Urzędem Wojewódzkim, czy jest takie coś możliwe. Więc mnie prosił, że on też rozezna tę sprawę, i żeby za kilka dni się spotkać i porozmawiać na ten temat. Po kilku dniach oddzwonił i powiedział mi w ten sposób: żeby ten pan formalnie zaczął robić starania przez Komitet Walki i Męczeństwa i że zgoda władz wojewódzkich – i tym sposobem i miejskich – na to będzie. Ja mu za jakiś czas przekazałem tę wiadomość, że może rozpocząć takie starania, i on upoważnił do takich częstych kontaktów roboczych pana redaktora Mariana Turskiego z „Polityki". Powoli, powoli zaczęły te prace się przygotowywać i wtedy, kiedy faktycznie, po tych staraniach, on otrzymał możliwość utrwalenia i ogrodzenia tego miejsca historycznego, to rozpoczął starania o pozwolenie na budowę tego ogrodzenia. Rozpoczęły się takie

kontakty robocze ze mną jako naczelnikiem ówczesnym miasta i gminy Bełżyce, i przeze mnie, z władzami wojewódzkimi. I powoli, powoli zaczęła się ta budowa, uporządkowanie tego terenu. Jeśli sobie dobrze przypominam, to chyba w październiku '90 roku było takie uroczyste spotkanie z okazji zakończenia tych prac.

Jak zareagowali na te działania mieszkańcy Bełżyc?

Muszę powiedzieć, że spotkało się to w Bełżycach z oddźwiękiem bardzo pozytywnym – bo my, jako mieszkańcy Bełżyc, i ja jeszcze, jako młody człowiek, wtedy chłopak, to niejednokrotnie spotykaliśmy te macewy. I co się okazało: że wtedy, kiedy zaczęła się budowa tego miejsca – pomnika pamięci pomordowanych Żydów – ludzie zaczęli [je] zwozić ze swoich gospodarstw, albo gdzie widzieli, że są te macewy, i tych kilkanaście macew dzisiaj jest. Muszę powiedzieć, że do dzisiaj jest to takie miejsce, które godnie jest czczone i honorowane – zarówno przez ludność żydowską, która przyjeżdża przy tych okazjach, które pan Ariav co roku odbywa, jak również przez ludność bełżycką. Był tylko jeden taki niedobry przypadek, gdzie troszkę zbezczeszczono, zerwano litery – ale podejrzewam, że coś takiego zrobił człowiek nieodpowiedzialny, któremu pewnie brakowało na piwo. Natomiast jest to położone przy obecnej ulicy Przemysłowej, gdzie znajduje się Zespół Szkół Rolniczych, i jest to powszechnie szanowane, czczone, i młodzież z zespołu tej szkoły ma opiekę nad tym miejscem. Cieszę się, że jest ono traktowane jako jedno z miejsc historycznych bełżyckich, szanowanych, tak jak cmentarz nasz, katolicki. Spotkania, jakie pan Ariav odbywa z młodzieżą, z ludźmi, z dziećmi, pozytywnie się wkomponowują w to życie codzienne w Bełżycach. Muszę panu powiedzieć, że podczas tych spotkań na początku lat 90., bardzo często przychodzili ludzie i pan Ariav z nimi rozmawiał. Mówili mu – tak jak mój ojciec kiedyś mi wspominał – gdzie mieszkała jego rodzina, nawet i dalsza rodzina; pan Ariav mi później o tym mówił. Przypominam sobie szczególnie

te pierwsze lata ’90–’95, że bardzo często spora grupa bełżyczan tam przychodziła, ale w ostatnim okresie odbywają się te spotkania praktycznie tylko z udziałem najbliższej rodziny i przyjaciół pana Ariava. No i oczywiście władze w tym uczestniczą.

No właśnie, miałem okazję wziąć udział kilka lat temu w tych uroczystościach i pamiętam, że takich zwykłych, w cudzysłowie, typowych mieszkańców Bełżyc chyba nie było. Tak, że mnie to zastanowiło, czy to jest uroczystość organizowana tylko dla przyjaciół, rodziny pana Ariava, ewentualnie władz miasta, czy dla mieszkańców Bełżyc.

Ja to tak skomentuję: domyślam się, że pan tutaj był pewnie albo pod koniec lat 90., albo na początku już obecnego stulecia. Tutaj nie było robionych uroczystości poświęconych Żydom, czy jakichś wspólnych uroczystości polsko-żydowskich, bo pan Ariav sobie tego nie życzy. On powiedział, że chce skromnie: nie chce tutaj robić czegoś takiego pod publiczkę – to jest jego prywatna sprawa, jego przyjaciół; chce to po prostu utrwalić jako miejsce, gdzie będzie mógł przyjeżdżać na cmentarz swoich bliskich z rodziny. I tak to traktowaliśmy. I te pierwsze spotkania, o których wspomniałem, to ja też traktowałem raczej jako taką troszkę ciekawostkę dla bełżyczan: jak to się odbywa, co to jest, kto to jest przede wszystkim – bo oni w rozmowach prywatnych wiedzieli, gdzie która rodzina żydowska mieszkała; z nazwiska mówili, jak wtedy wspomniałem, kto to jest pan Ariav, bo jego mniej więcej znali, mniej jego rodzinę, ale ze strony dziadka to już znali doskonale. I właśnie ci ludzie zaczęli się wtedy z panem Ariavem kontaktować, rozmawiać z nim przy tej okazji, jak tu przyjeżdżał – i w związku z tym takie to było spontaniczne. Ale, jak mówię, to było na początku tego wszystkiego, a później już coraz mniej, coraz mniej. Obecnie to są takie rodzinne spotkania przyjaciół pana Ariava, tylko w rocznicę mordu. Myślę, że tak jest dobrze. Jestem zapraszany corocznie i staram się też co roku być, brać udział w tym jako ten, który jest trochę związany z tym wszystkim, i cieszę

się, że mogłem się włączyć. I jest to kawałek historii Bełżyc zabezpieczony, i można o tym poczytać w różnego rodzaju publikacjach książkowych i innych opracowaniach.

Proszę opowiedzieć o dalszej współpracy z panem Ariavem Nimrodem – na odbudowie cmentarza żydowskiego jego obecność w Bełżycach się przecież nie zakończyła.

Kiedy pan Ariav starał się o pozwolenie na budowę i ogrodzenie tego cmentarza, wtedy wspomniał, że pomimo jego losów – bo było mu bardzo ciężko, ale poprzez swoją ciężką pracę dorobił się majątku – jest człowiekiem bogatym, jest człowiekiem światowym, dobrze mu się żyje. Jak powiedział: „Ja pieniądze mam i chcę Bełżycom pomagać, jeśli będziecie uważali za stosowne, wtedy, kiedy będziecie mieli potrzeby, chętnie was wspomogę". I ja, trzymając się tej jego wypowiedzi, po zakończeniu tej inwestycji – dla mnie to była trochę inwestycja w ramach miasta Bełżyce, bo przecież to w Bełżycach się działo, za jego pieniądze – nie śmiałem go prosić o jakiekolwiek wsparcie, ale sam wspomniał, że chciałby Bełżycom pomagać. Pierwsze takie działanie z mojej strony – przyznaję szczerze, że było to bardzo trudne dla mnie – to było wtedy, kiedy była pilna potrzeba zakupienia rentgena dla ZOZ-u bełżyckiego, konkretnie dla szpitala. I wtedy wpadła mi taka myśl, że może by pan Ariav coś takiego zakupił. Poprosiłem go i faktycznie kupił aparat rentgenowski izraelskiej produkcji i taki rentgen mieliśmy – on chyba do dzisiaj jest. Korzystaliśmy wszyscy jako pacjenci ZOZ-u i szpitala bełżyckiego. Za to nie chciał żadnego podziękowania, ale poczuliśmy się w obowiązku i przy tym rentgenie była i jest chyba zrobiona – jeśli on jeszcze tutaj jest – tabliczka mosiężna z napisem, czyj to jest dar. Chodziło mi o jedno: żeby pokazać, że ten człowiek, niby obcy, ale jednak związany z Bełżycami, dał swoje pieniądze i tym sposobem, nie czekając na jakieś podziękowania, kupił to, wspomógł nas jako pacjentów. Kolejna pomoc z jego strony to, dla przykładu: pracownia komputerowa w Zespole Szkół przy ulicy Biskupa Wilczyńskiego,

pracownia komputerowa w Zespole Szkół imienia Mikołaja Kopernika, pomoc w zakresie ocieplenia i wymiany stolarki okiennej w Zespole Szkół przy ulicy Biskupa Wilczyńskiego, zakup samochodu, kolejne pieniądze na zakup sprzętu dla szpitala w Bełżycach. Praktycznie co roku pan Ariav zostawia jakieś środki, daje na pilne potrzeby związane z miastem Bełżyce. Wiem, że nigdy nie odmówił takiej pomocy i wiem, że dalej nie odmawia, natomiast jakie to były środki, na co w szczegółach zostały przeznaczone, to wolałbym, żeby to pan Ariav się wypowiadał bądź ewentualnie inni burmistrzowie, którzy kierowali życiem bełżyckim od '90 roku. On się czuje mieszkańcem i na to go stać – i on te środki, większe czy mniejsze, zawsze daje. Ja starałem się, by w swoich prośbach skromnych zawsze mu mówić, co chcemy zrobić, jakie pieniądze to ma kosztować – i widziałem z jego strony, że cieszył się, iż może nas wesprzeć. Uważam, że wszystko jedno, kto będzie burmistrzem w Bełżycach, jaki będzie skład rady, powinniśmy go tutaj zawsze witać jako tego – jak ja to nazywam – dobrodzieja Bełżyc. Z tych spotkań corocznych widzę, że już bardziej w to angażuje swoich synów, szczególnie pana Ariela mocno angażuje w to, żeby kontynuował jego dzieło. Jego synowie ciągle podkreślają, że tak jak ojciec tutaj rozpoczął, tak oni będą tę współpracę z Bełżycami kontynuować i będą starać się co roku przyjeżdżać.

Cieszę się też, że pan Ariav dał się namówić i otworzył się trochę szerzej, chociaż jako człowiek bardzo skromny mówił, że nie potrzebuje rozgłosu. Ja go sam namawiałem: tak ciekawe, ale tragiczne są jego losy. Jego osobiście i jego rodziny, a szczególnie jego – przecież wiemy, że uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Tylko raz, z tego co wiem, spotkał się z młodzieżą, ale uważam, że powinien to częściej przekazywać, bo to jest żywa historia – oprócz naszych kombatantów, żeby wszyscy wiedzieli, że i coś takiego z jego strony też miało miejsce.

Chciałem teraz zadać Panu takie pytanie z gatunku: co by było, gdyby. Co by było, gdyby pan Ariav wtedy się nie zjawił i gdyby nie przyszedł do Pana, gdyby pana Ariava nie było?

Gdyby pan Ariav się nie zjawił i pana Ariava nie było, to prawdopodobnie byłoby tak, jak było to do roku '90. Ten plac był ogrodzony, było ogrodzenie z siatki, był traktowany jako jeden z terenów miejskich, ale wątpię, czy znalazłyby się środki, czy ktoś by się zainteresował tym, jakaś inicjatywa powstała, że ot, zróbmy coś takiego, jak w tej chwili, kiedy to było za pana Ariava. Teraz są troszeńkę inne czasy, gdyby jakieś środki były, to może jakiś taki mały obelisk, taki na wzór tego, co jest przed Domem Kultury obecnie, by tam się może znalazł. Dodatkowo jeszcze, ale myślę, że chyba czegoś takiego w postaci takiego muru, takiego pięknego i właściwego zabezpieczenia terenu ludzi tam najpierw pomordowanych, a później pogrzebanych, to chyba by nie było, mówię – chyba, zastrzegam się, bo ja nie wiem, nigdy na ten temat nie myślałem.

Na zakończenie naszej rozmowy proszę powiedzieć, co Pan czuł wtedy będąc na tym cmentarzu i widząc reakcję pana Ariava – i w ogóle, po usłyszeniu całej tej historii?

Czułem wielki szacunek dla niego, skrępowanie ze swojej strony i to, o co pan mnie między wierszami tu zapytał. Pan wprost tego pytania nie zadał. Troszeczkę żałowałem, że myśmy – jako mieszkańcy i władze – wcześniej sami nie podjęli takiej inicjatywy zabezpieczenia właściwego. Bo to jest nasza historia, historia Bełżyc. Ja tylko się cieszę, że mogłem mu pomóc, i że to wszystko tak się ułożyło i tak się układa.

Rozmawiał: Tomasz Czajkowski, 2008

DZIEJE ŻYDÓW BEŁŻYCKICH
KALENDARIUM

Pierwsza połowa XVI wieku – w Bełżycach osiedlają się pierwsi Żydzi.

XVI wiek – najprawdopodobniej w latach 70. powstaje zorganizowana gmina żydowska. Bełżyccy Żydzi trudnią się głównie handlem, co jest spowodowane korzystnym położeniem miasta na szlaku królewskim z Krakowa, przez Sandomierz i Lublin, do Wilna. W drugiej połowie XVI wieku znacznie zwiększa się liczba żydowskich mieszkańców Bełżyc. **Na południe od Rynku wzniesiono wówczas gmach synagogi, otworzono także szkołę.** W ostatniej ćwierci wieku zostaje założony kirkut (stary cmentarz żydowski położony ok. 50 metrów na południe od Rynku).

1643 – w Bełżycach odbywa się jedno z posiedzeń centralnej instytucji samorządu żydowskiego w ówczesnej Rzeczypospolitej – tzw. Sejm Czterech Ziem.

1648 – rozwój gminy żydowskiej zostaje zahamowany przez wojska kozackie Bohdana Chmielnickiego, które pustoszą Bełżyce, mordując wielu Żydów i rabując dobytek.

1676 – Żydzi stanowią blisko 23 proc. mieszkańców Bełżyc i zamieszkują swoją dzielnicę w rejonie ulic: Żydowskiej (obecnie 1000-lecia), Zatylnej (ob. Jakuba Nachmana), Zatylnej Żydowskiej (ob. Bednarskiej) i Południowej.

Wiek XVIII – w ciągu XVII i XVIII wieku Żydzi odrobili straty spowodowane najazdem kozackim z 1648 roku i ponownie zdominowali miejscowy handel, a także częściowo rzemiosło. **Wiek XVIII przynosi już pełną organizację prawną żydowskiej gminy**

wyznaniowej w Bełżycach. Reprezentuje ją Rada Starszych mająca zarząd nad synagogą, szkołą oraz kirkutem.

1787 – Bełżyce zamieszkuje 666 Żydów, co stanowi 51 proc. populacji.

Ok. 1810 – powstanie nowego cmentarza żydowskiego w Bełżycach (obecnie przy ulicy Przemysłowej).

1827 – ludność żydowska Bełżyc wynosi 994 mieszkańców (51 proc. populacji).

1897 – bełżyccy Żydzi stanowią 60,6 proc. ludności miasteczka.

1914 – po pożarze pustoszącym miasteczko (1913), w trakcie którego zostaje zniszczona synagoga, jej rolę przejmuje 6 dużych domów modlitwy i 8 chederów.

Bełżyce przed wojną. Fot. dołączona do pracy: Agata Iwaniuk „Żydowska gmina wyznaniowa w Bełżycach: topografia polityczna 1919-1939". Autor nieznany.

1921 – według pierwszego spisu powszechnego w II Rzeczypospolitej Bełżyce zamieszkuje 1882 Żydów (51 proc. populacji). W okresie międzywojennym władzę nad żydowską gminą bełżycką sprawuje chasydzki rabin Gedali Jakubson. W mieście działają odłamy niemal wszystkich większych partii żydowskich. Najsilniejszą pozycję wśród nich posiada partia religijnych ortodoksów – Aguda oraz robotniczo-jidyszowski Bund. Żydzi nadal dominują w miejscowym handlu.

1939 – Bełżyce zamieszkuje 2100 Żydów.

16 września 1939 – Niemcy zajmują Bełżyce. **Bełżyccy Żydzi od początku okupacji traktowani są jako bezpłatna siła robocza.**

> *Pojawienie się żołnierzy niemieckich wywołało przerażenie ludności żydowskiej. Żydzi nie opuszczali swoich mieszkań, świadomi niebezpieczeństwa, jakiego mogli oczekiwać*[1].

26 października 1939 – sprawy wykorzystania żydowskich robotników przymusowych zostają uregulowane rozporządzeniami: generalnego gubernatora Hansa Franka wprowadzającymi obowiązek przymusowej pracy dla ludności żydowskiej w wieku od 16 do 60 lat oraz wyższego dowódcy SS i policji przy sztabie generalnym gubernatora Friedricha Wilhelma Krügera z 11 i 12 grudnia 1939 (przepisy wykonawcze do wcześniejszego rozporządzenia).

1940 – Żydzi z Bełżyc są zatrudniani przy remontach ulic, odśnieżaniu dróg oraz pracach rolnych i ogrodniczych. W tym samym roku pewną liczbę Żydów z Bełżyc przetransportowano do obozów pracy w Bełżcu oraz Józefowie nad Wisłą. W Bełżycach obowiązuje nakaz noszenia opasek z gwiazdą Dawida, oznakowanie przedsiębiorstw i sklepów żydowskich, blokada kont bankowych, ograniczenia

1 Hela Ferstman, „Wspomnienia z getta w Bełżycach", AŻIH sygn. 302/2.

w poruszaniu się, godzina policyjna itd. Bełżycka gmina żydowska zostaje zmuszona do wypłacenia na ręce niemieckie specjalnej kontrybucji w kwocie 20 tysięcy złotych. Na początku tego roku w mieście utworzono Judenrat – radę żydowską.

16 lutego 1940 – do Lublina przybywa transport 1200 Żydów ze Szczecina. Początkowo umieszcza się ich w obozie dla żydowskich jeńców wojennych z armii polskiej przy ulicy Lipowej 7, a następnie w większości rozesłano ich do pobliskich miasteczek, w tym do Bełżyc – około 300 osób.

Październik 1940 – Bełżyce zamieszkuje 2400 Żydów, w tym około 600 przesiedleńców.

Kwiecień 1940 – Niemcy przystępują do „oczyszczenia z Żydów" Krakowa. Pomiędzy listopadem 1940 a kwietniem 1941 roku ponad 9 tysięcy krakowskich Żydów zostanie przymusowo przesiedlonych na obszar dystryktu lubelskiego. Dwa transporty dotrą również do Bełżyc. W lutym 1941 zostanie tu przesiedlonych 360 osób, zaś 5 marca kolejnych 161.

1940/1941 – według różnych źródeł **utworzenie getta żydowskiego ma miejsce pomiędzy 1940 a 1941 rokiem**. Izraelski historyk David Silberklang przyjmuje, że miało to miejsce dopiero w połowie lub pod koniec 1941 roku[2].

10 marca 1941 – pierwszego dnia trwania akcji wysiedleńczej prawie 800 lubelskich Żydów zostaje skierowanych do Bełżyc i Chodla. W tym dniu do Bełżyc przesiedlono 495 lubelskich Żydów. Niedługo po tym wydarzeniu ludność żydowska w mieście wzrośnie do poziomu 3499 osób, z czego 1193 to uchodźcy i przesiedleńcy.

2 Silberklang David, The Holocaust in the Lublin District, Jerusalem 2003 (maszynopis pracy doktorskiej obronionej na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie), za: Adam Kopciowski „Dzieje Zydów bełżyckich" [w:] „Studia z dziejów Bełżyc", Bełżyce 2006.

Przybywają do naszego miasta masy ludzi z miast i miasteczek, które zostały zajęte przez wojska niemieckie. Opowiadają oni przerażające rzeczy o tym, jak zostali uwięzieni najzamożniejsi obywatele miasta i żywcem spaleni. Opowiadają także o paleniu bożnic, o gwałceniu kobiet żydowskich i o zabijaniu Żydów wraz z jeńcami polskimi[3].

Marzec 1942 – w efekcie kolejnych transportów **liczba mieszkańców bełżyckiego getta w marcu wynosiła blisko 5000 osób**. Getto początkowo nie było zamknięte, ogrodzono je i wzmożono kontrolę dopiero w styczniu 1942 roku.

Maj 1942 – hitlerowcy rozpoczynają likwidacje getta w Bełżycach.

Przyjechała niemiecka żandarmeria z Ukraińcami i obstawili miasto. Złapano mężczyzn, przeważnie młodych. (…) Zebrano ich na rynku a potem pognano pieszo w kierunku Lublina. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że wszystkich zaprowadzono na Majdanek. Mówiono, że nikt nie wróci, bo to jest obóz śmierci[4].

12 maja 1942 – do Bełżyc przybywa transport tysiąca Żydów niemieckich z Saksonii i Turyngii.

Jesień 1942 – wielkie wysiedlenie Żydów z Bełżyc. We wrześniu kilkuset, głównie młodych Żydów wywieziono na Majdanek.

3 Hela Ferstman, „Wspomnienia z getta w Bełżycach", AŻIH sygn. 302/50.
4 Gołda Teich, Wspomnienia z getta w Bełżycach, AŻIH sygn. 301/1812.

Wśród Żydów i Polaków krążyły pogłoski, że będzie łapanka na Polaków, ale kiedy nastał dzień mówiono, że będą wysiedlali Żydów z miasta. Powstała panika, ludzie pochowali się do kryjówek i do sąsiadów Polaków, ja zaś z siostrą udałam się do szwagra, który mieszkał w polskiej dzielnicy i tam ukryłam się u gospodarzy na strychu. Siedziałyśmy tam kilka godzin i słyszałyśmy strzały, huki i lamenty. Jednocześnie głośniki radiowe ogłosiły, że za przechowywanie Żydów grozi kara śmierci, a za rabowanie mienia żydowskiego więzienie. Słyszałyśmy też, że dużo aut z młodzieżą odjechało w kierunku Lublina[5].

2 października 1942 – na placu przed bożnicą hitlerowcy rozstrzeliwują 150 Żydów, w tym Arie-Lejba Cygielmana, ojca Nimroda Ariava.

13 października (według innych źródeł – 28 października) 1942 – 7230 zgromadzonych w Bełżycach Żydów wywieziono do obozu zagłady w Sobiborze. Inni bądź zostali rozstrzelani na miejscowym kirkucie, bądź – w wypadku młodych ludzi – wysłani do getta w Piaskach lub obozu pracy w Poniatowej. Dla kilkuset Żydów pozostałych w Bełżycach utworzono w gmachu synagogi obóz pracy, oddzielony od reszty miasta drutem kolczastym. Liczba Żydów w obozie stale wzrastała.

Początek 1943 – w bełżyckim obozie pracy przebywa około 1200 Żydów.

Maj 1943 – likwidacja obozu pracy.

8 maja 1943 – najtragiczniejszy dzień w historii żydowskiej społeczności Bełżyc. Oddział SS dokonuje rozstrzelania w pobliżu

5 Gołda Teich, Wspomnienia z getta w Bełżycach, AŻIH sygn. 301/1812.

synagogi pozostałych mieszkańców getta (750 kobiet, 150 dzieci i ok. 100 mężczyzn). Egzekucji uniknęło wówczas 250 kobiet i 350 mężczyzn wysłanych przez Niemców do obozu pracy w Kraśniku-Budzyniu lub getta w Piaskach Lubelskich.

Sierpień 1944 – w Lublinie zarejestrowali się następujący Żydzi pochodzący z Bełżyc: Lejbuś Arbuz, Szo i Chaim Erlichmanowie, Szo, Szmuel, Hela i Smycha Fersztmanowie, Henryk Frajd, Josek Gesiter, Regina Giwerger, Masza i Szlama Goldywer, Estera Kitenkorn, Chil Mosze Pres, Ryniek, Szlojmo i Sara Szapirowie, Josek Sztejnbok, Bajla i Moszek Ela Zylbernadelowie.

Październik 1990 – uroczystość zakończenia prac restauracji nowego cmentarza żydowskiego w Bełżycach, założonego w pierwszej połowie XIX wieku, który funkcjonował do maja 1943 i choć przetrwał w dobrym stanie do końca drugiej wojny światowej to potem został zniszczony przez okoliczną ludność, która wykorzystała macewy do celów użytkowych. Dopiero pod koniec lat 80. dzięki zaangażowaniu Nimroda Ariava, którego ojciec spoczywa na tym kirkucie, teren ten został ogrodzony i uporządkowany.

Oprac. Agnieszka Góra-Stępień

Kalendarium powstało przede wszystkim na podstawie artykułu „Dzieje Żydów bełżyckich" autorstwa Adama Kopciowskiego [w:] „Studia z dziejów Bełżyc", Bełżyce 2006

RELACJA NIMRODA ARIAVA
Lublin, 20 października 2005 roku

Rodzina. Dom rodzinny
Urodziłem się w Lublinie 24 września 1926 roku. Moi rodzice nazywali się Marta, z domu Wajsbrodt i Lejb Cygielman. Ojciec był z Lublina, a matka z Bełżyc. Miałem brata, bliźniaka. Mam jedno jego zdjęcie, które teraz trzymam w moim biurze w Tel Awiwie. Ktoś mi je dał. Mieszkałem przy ulicy Nowej. Mieszkanie było dość wygodne. Każdy miał swój pokój.

Mam jedno zdjęcie mojego ojca razem z moją ciotką. Ojciec był bardzo cichym człowiekiem, lubił pisać wiersze. Ale nie był dobrym kupcem. Mama powiedziała mi, że dziadek dwa razy dał ojcu posag. Był wykształconym człowiekiem, dobry był w matematyce, ale jakie miał dokładnie wykształcenie – nie mam pojęcia. Był religijny. Był nie tyle pobożny, co bardzo tradycyjny, a mama – w ogóle nie. Ale zawsze był u nas szabas. Pamiętam, że jak przechodziłem koło kościoła, to powinienem czapkę zdjąć, ale nie wiedziałem dlaczego.

Moja mama była syjonistką. Była bardzo zaangażowana w ruchu syjonistycznym. Uczestniczyła w kongresach syjonistycznych w Marienbad, w Karlsbad. Posłała mnie i brata do Tarbutu. Skończyłem tutaj Tarbut. Tam nauczyłem się hebrajskiego. Kto chodził do Tarbutu? Do Tarbutu chodzili tacy, którzy wierzyli w Izrael.

W domu zasadniczo były używane trzy języki. Rodzice mówili po żydowsku. Ja z moim bratem mówiliśmy po hebrajsku i mieliśmy

guwernantkę, Gertrudę, która mówiła do nas po niemiecku. Znałem także język polski – nie za bardzo, ale na tyle wystarczająco, że mogłem wysłowić się po polsku, i nie z żydowskim akcentem. I to mnie uratowało w czasie wojny.

Rodzina ojca

Rodzina dziadka była bardzo religijna. Dziadka pamiętam, jak przychodziłem do bóżnicy w piątek wieczór, razem z ojcem i z bratem, i całowałem jego rękę i uciekałem, bo się bałem. Dziadek siedział w bóżnicy, miał tam swoje miejsce. Dziadek wspierał budowę Jesziwat Chachmej Lublin na Lubartowskiej. On mnie tam raz zabrał, była tam mała makieta świątyni żydowskiej z Jerozolimy. I on mi to pokazał. Mieszkał na Kowalskiej, niedaleko nas, ale rzadko chodziłem do niego. To było duże mieszkanie, ale było tam smutno, czarno – nie było to miejsce, gdzie chciałem przychodzić.

Rodzina matki

Rodzina mamy była bardzo bogata. W Bełżycach mieli duży sklep bławatny. Mama miała trzech czy czterech braci, którzy mieszkali w Siedlcach i jeszcze w dwóch miejscach, i trzy czy cztery siostry. Wszystkie siostry u nas, w Lublinie, rodziły, przyjeżdżały z Bełżyc do naszego mieszkania. Wówczas nie chodziło się do szpitala. I tam był także wujek mojej matki z trojgiem dzieci.

Rodzina ze strony matki nie była tak bardzo religijna. Dziadek z Bełżyc umarł w Berlinie. Pojechał tam z moim ojcem w 1926 roku, żeby zrobić operację. Umarł i przywieźli jego trumnę do Bełżyc. Matka mi powiedziała, że jak przywieźli go, a to była sobota, to całe miasteczko nie zapaliło świec, żeby nie było powiedziane, że mój dziadek przyjechał w sobotę. Trumna, w której go przywieźli, była metalowa – to niedozwolone w rytuale żydowskim, więc go wyjęli i pochowali po żydowsku. Po jakichś

dziesięciu latach ktoś powiedział o tym i chciano otworzyć grób. Pamiętam, że matka pojechała do Warszawy i jakoś to załatwiła.

Bełżyce przed wojną

Co roku jeździliśmy z naszą guwernantką, Gertrudą, do Nałęczowa na wywczasy. Ona tam z nami mieszkała. Jeździliśmy także do babci, do Bełżyc. Jeździliśmy tam konnymi dyliżansami. To trwało 4–5 godzin – 25 kilometrów.

W Bełżycach był rynek, gdzie sprzedawano raz w tygodniu różne rzeczy, a dookoła były domki. To był prawdziwy żydowski sztetl. W piątek wieczór wszystko tam było zamknięte, bo w miasteczku było 60–70 proc. – jakieś trzy tysiące Żydów. Prawdziwy sztetl, jak to się widzi czasami w kinie. Mój dziadek był tam bardzo prominentny: kiedy przyjechałem 40–50 lat później, jak się przedstawiłem, to mówiłem, że jestem wnukiem Szlamianki, i wszyscy wiedzieli, kto to jest. Do dzisiejszego dnia są ludzie, którzy wiedzą dokładnie, kto to był Szlamianka.

Wybuch wojny w 1939 roku

Zaczęły padać bomby. Byliśmy w piwnicach. Jak do Lublina przyjechali wyrzuceni z Niemiec Żydzi, mieliśmy trzech gości, którzy mieszkali u nas. Jest coś, czego nigdy nie zapomnę. Zanim opuściliśmy Lublin, chodziłem ulicą Lubartowską. Dzisiaj przejeżdżałem tamtędy i mi się przypomniało, że chodziłem może szedłem? wówczas w opasce żydowskiej i trzej z Hitlerjugend (może to i byli Polacy albo Polacy-Niemcy, volksdeutsche) wyrzucili mnie z chodnika: że ja, jako Żyd, nie mogę tamtędy iść, jak oni idą chodnikiem. I mnie zbili porządnie. Od tego czasu zdjąłem tę żydowską opaskę i nigdy jej nie założyłem. Później zaczęło się mówić o tym, że Niemcy chcą nas zabić i myśmy postanowili: jedziemy do Bełżyc. Zdaje się, że pojechaliśmy tam w 1940 roku, ale tego nie pamiętam dobrze. Pojechaliśmy całą

rodziną: ojciec, matka, mój brat i ja. Tam była cała rodzina matki, a rodzina mojego ojca została tutaj – i oni wszyscy zginęli.
Ci krewni w Bełżycach mieli duże mieszkanie i myśmy tam zamieszkali. Wszystko było w porządku. Bawiliśmy się z kuzynami – matka miała młodszego brata, dokuczaliśmy im. Zacząłem pracować, jak miałem czternaście lat. Pracowałem w Bełżycach w elektrowni. Inżynier, który nią kierował, wziął mnie do pracy. Zdaje się, że nie płacił mi niczego, ale ja pracowałem u niego i czegoś się nauczyłem.

Sytuacja Żydów pod okupacją hitlerowską, Bełżyce
Czuje się zagrożenie. Boimy się naszych sąsiadów polskich. Boimy się Niemców, ale bardziej Polaków niż Niemców. Myśleliśmy, że oni chcą nam wszystko odebrać. Mówiło się o tym. Ja dużo nie słyszałem, bo poszedłem pracować. Chcieliśmy coś zrobić, żeby przeżyć. Niemcy od czasu do czasu przyjeżdżali, zbierało się wtedy pieniądze i dawało im. Raz kupili dla jednego Niemca białego konia. On to wziął i było cicho. A pewnego dnia ktoś powiedział, że będzie akcja i myśmy uciekli. Przestraszyli nas. Nie pamiętam gdzie – albo do Chełma, albo do Zamościa. To był 1940–1941 rok, nie pamiętam dokładnie.
Wyjechał z nami także wujek mojej matki z trójką dzieci. Tam była dziewczyna starsza ode mnie, był chłopak w moim wieku i jeszcze dziewczyna o rok młodsza ode mnie. Podczas jednej akcji ich troje złapali i zabili. Widziałem, jak to się zdarzyło. A gdy wujek mojej matki zobaczył, że ja z bratem zostaliśmy żywi, to chciał nas zabić – naprawdę chciał nas zabić. Ten wujek przeżył wojnę i myśmy dużo o tym rozmawiali. Umarł jakieś 20–30 lat temu. Jak patrzył na mnie, to widział swoje dzieci. Nigdy nie zapomniał, że ja żyję, a jego dzieci nie. Już nie chciał mnie zabić, ale pamiętał dobrze. Jak umierał, był w szpitalu, to tylko mnie zawołał, prosił, żebym ja przyszedł. Przyszedłem trzy razy i siedziałem u niego, i za czwartym razem, jak przyszedłem, on umarł. Trzymał mnie za rękę i mówił do mnie.

Jednak zawsze czułem jakąś ambiwalencję – że on nie widzi mnie, tylko swoje dzieci; i do śmierci mi nie podarował. To było moje odczucie.
Później wróciliśmy do Bełżyc. Ojciec powiedział, że nie da im się złapać i przygotował sobie, co zrobi, jeżeli go wezmą. I w 1942 roku jest akcja. Ja uciekłem. Wszyscy uciekli. I wówczas zabili mojego ojca i wzięli kilku z rodziny do Majdanka. Mojego ojca zabili w miejscu, gdzie dzisiaj jest Dom Kultury, a przedtem synagoga była. To nie byli Niemcy, którzy zabijali. To byli Litwini. Oni byli gorsi niż Niemcy. Oni byli tymi mordercami. Może był jeden Niemiec, a całą robotę zrobili Litwini albo Ukraińcy, byli także z Łotwy i z Estonii. Oni widzieli, że ojciec bierze coś, bo miał truciznę – to mi powiedziała ciotka, która przeżyła wojnę. Wtedy jeden mu powiedział: „Po co to robisz, ja ci pomogę". I zastrzelił go na miejscu. Wówczas zastrzelili jakichś 150 ludzi. Jak Niemcy wyjechali, przyszliśmy z powrotem, było dużo młodych, i wzięliśmy wszystkich zabitych z synagogi na cmentarz żydowski. Rytuał żydowski mówi, że nie wolno pochować tych, którzy zostali zabici tego samego dnia, oddzielnie, tylko w jednym grobie. Pamiętam, że mój ojciec jest pochowany pierwszy z prawej strony. I skończyliśmy to. I wówczas zrobili getto w Bełżycach. Ja byłem w getcie kilka tygodni, ale postanowiłem, że to nie jest miejsce dla mnie. Pojechałem do Warszawy. To był koniec 1942 roku. Później przyjechałem z powrotem po brata.

Wyjazd do Warszawy, 1942

Nie miałem papierów, ani niczego, wyjechałem pociągiem, ale nie z Bełżyc, skąd – nie pamiętam. Wiem, że wysiadłem w Warszawie. Miałem jakiś adres, do kogo się zgłosić. Miałem kogoś, kto mi pomógł z początku. To byli także Żydzi, którzy się ukrywali. Papiery sam robiłem. Przyszedłem do Urzędu Miasta, widziałem, że ktoś w moim wieku umarł, to wziąłem jego nazwisko, poszedłem do kościoła, poprosiłem o świadectwo chrztu. Miałem nazwisko

„Henryk Górski".
Zacząłem chodzić do szkoły Śniadeckich, niedużo się uczyłem. Zacząłem mieć kolegów polskich. Powiedziałem im, że jestem z Lublina, zabito moich rodziców i przyjechałem do Warszawy. Pomagali mi, bo wówczas już byłem w AK. To był 1942 rok. W Warszawie mieszkałem w trzech miejscach – dwa pamiętam, a trzeciego nie. Niektóre rzeczy wyleciały mi z głowy i nie chcą wrócić.
W 1943 roku przyjechałem do Bełżyc po brata. Pamiętam, jak przyjechałem do Warszawy, to widzieliśmy z okna kolei getto żydowskie – dlatego pamiętam, że to był kwiecień, 1943 rok. I brat ze mną, i taki jeszcze nasz znajomy z żoną, mieliśmy mieszkanie przy ulicy Siennej. Oni byli także z Lublina – Rajsowie. Studiowali w Belgii, zanim wojna wybuchła. Ona uchodziła za Francuzkę. Była bardzo piękną kobietą.
Po kilku miesiącach ktoś powiedział, że tam mieszkają Żydzi. Któregoś dnia przychodzę do domu – dozorca mnie ostrzegł – mówi mi, że jest gestapo, to oczywiście nie wszedłem. Złapali mojego brata i tego gościa, a jego żonę – nie. I zabili ich. Na żandarmerii, na Siennej, nie wiem jaki numer. Zmieniłem mieszkanie i zmieniłem nazwisko na „Jerzy Eugeniusz Godlewski".
Trzeba było żyć z czegoś, to razem z kolegami w Warszawie – nie pamiętam ani jednego nazwiska, oni wszyscy byli starsi ode mnie – robiliśmy coś, handlowaliśmy, byliśmy w AK. Byłem w polskim środowisku, zapomniałem, że jestem Żydem.
Do Warszawy przywiozłem także matkę. Była chowana u Polaków na ulicy Polnej. Nie przypominam sobie, jaki numer. Matka nie żyje już, nie mogę jej zapytać. I matka zaczęła tam z ciotką moją mieszkać. Matka nie wychodziła na zewnątrz, bo nie wyglądała tak dobrze jak ja, bardziej przypominała Żydówkę. Ja nie wyglądałem jak Żyd. Także mój wujek ukrywał się wtedy w Warszawie, po „aryjskiej" stronie. Ale oni płacili dużo pieniędzy za to. Mieli dużo pieniędzy. Moja matka nie wiedziała, gdzie mieszkam. Ja wiedziałem, gdzie ona miesz-

ka, ale też tam nie przychodziłem. Jak mój brat zginął, bałem się jej o tym powiedzieć i dużo czasu minęło, zanim jej powiedziałem. Ona mi nigdy tego nie zapomniała.

Wspomnienie o Annie Langfus[1]

W tym czasie byłem w szkole, miałem kolegów, byłem w AK i żyłem... I tę panią Rajs znałem. Ta pani przeżyła wojnę, wyjechała do Francji, wyszła za mąż. Ja od czasu do czasu przyjeżdżałem zobaczyć, jak się ma. Ona zaczęła pisać. W 1960 roku napisała książkę, za którą dostała Prix Goncourt. To była Anna Langfus. Anna była bardzo piękną kobietą. Jeżeli ona przeżyła, to to jej pomogło. Raz szła ulicą w Warszawie, a w Warszawie chodziły patrole, 2–4 Niemców. Jeden stanął i mówi: „Anna, ja cię znam, chodziłem razem z tobą do szkoły". Ona na to: „Ty mnie nie znasz, ja nie chodziłam do tej szkoły". Ale wzięli ją i puścili, bo nie mogli udowodnić, że jest inaczej. Mówiła, że jest Francuzką, po francusku mówiła pierwszorzędnie. Później mi powiedziała, że faktycznie chodziła z nim do szkoły. Ten skurczysyn wydał ją, poznał, ale ona wyszła z tego cało. Spotykałem się z nią od czasu do czasu. Raz się spotkaliśmy w Warszawie i widzę, że ktoś za nami idzie, to powiedziałem: „Anna, dojdziemy do rogu, ty na prawo, ja na lewo i uciekamy". I tak zrobiliśmy. Jeden zaczął za mną lecieć, jeden za nią. Chwycił mnie za rękę, a ja mu powiedziałem: „Proszę bardzo, won!". I uciekłem. Anna także uciekła. Później jeszcze spotkaliśmy się kilka razy. A potem, od powstania – nic. Po wojnie dowiedziałem się, że Anna jest w Paryżu. I wówczas przyjechałem do Paryża, żeby ją zobaczyć. Była smutna. Poznała jakiegoś gościa.

On był inżynierem. Nazywał się Langfus. Wyszła za mąż, miała syna [córkę]. Zaprosiłem ją, żeby przyjechała do Izraela – przyjechała raz, nie chciała więcej. Słyszałem o tym, że dostała Prix Goncourt.

1 Anna Langfus (1920–1966) ur. w Lublinie, ocalała z Holocaustu; po wojnie pisarka francuska, autorka autobiograficznej powieści Skazana na życie, laureatka Nagrody Goncourtów za Bagaże z piasku (1962). Więcej na stronie www.langfus.tnn.pl

Prosiła mnie, żebym czytał jej książki. Nie mogłem, nie chciałem. Kiedyś byłem na kolacji w Londynie. Siedzi koło mnie kobieta. Młoda. Bardzo ładna. Rozmawiamy i ona mówi, że chodzi na uniwersytet i studiuje Holocaust. Powiedziałem jej: „Słuchaj, zrób mi przysługę. Była pani Langfus. Ona otrzymała Prix Goncourt. Ja nie wiem, za jaką książkę. Zawsze chciała, żebym ją przeczytał. Znajdź mi, co to jest". Dwa miesiące później ona dzwoni: „Pani Langfus dostała Prix Goncourt w 1960 [1962] roku, książka została przetłumaczona na angielski w tym i tym roku, pod tym numerem możesz ją dostać".
20 lat później, jakieś 10 lat temu, dzwoni do mnie gość z Izraela, chce się spotkać w Paryżu, pokaże mi kilka obrazów. W porządku, ja się spotkam, będę siedział w hotelu „Crion" z Herald Tribune. Przychodzi gość, mówi po hebrajsku, dużo młodszy ode mnie. Jeżeli ja miałem wówczas 60 lat, to on może miał czterdzieści kilka. I jedziemy oglądać. Pojechaliśmy do jednego, drugiego, trzeciego miejsca – nic mi się nie podobało. Powiedziałem mu: „Słuchaj pan, miałem znajomą, dostarcz mi tę książkę albo po francusku, albo po angielsku". „Co powiedziałeś? Jakie nazwisko?". To ja mówię: „Anna Langfus". Gość zrobił się biały, zaczął drżeć: „Skąd ty do pani Langfus?". Powiedziałem: „A skąd ty do pani Langfus? Ty nie masz tyle lat. Pani Langfus była starsza ode mnie, to skąd ty?". I trwało kilka minut, zanim się uspokoił, później opowiedział mi swoją historię. On był studentem w Paryżu. Anna opuściła męża, opuściła syna, opuściła wszystko. I umarła na jego rękach. Ja o mało nie dostałem ataku serca, jak on mi powiedział tę historię, że ona umarła. On był biały, jak ja powiedziałem: „Anna. Nie do uwierzenia". Przysłał mi książkę, którą Anna Langfus mu podpisała.

Powstanie w getcie warszawskim

Patrzyłem na to z drugiej strony. Co czułem? Nie pamiętam. Patrzyłem dobrze, bo ja dokładnie wiedziałem, kim jestem. Możliwe, że nie mówiłem o tym i chciałem zapomnieć, ale wiedziałem dokładnie, kim jestem. Co mogłem czuć? Jak reagowali Polacy?

Smutno. Widziało się, że to ich bolało. Wśród tych, którzy stali ze mną i patrzyli, nie widziałem nikogo, kto by się cieszył.
Opowiem historię, której nigdy nie zapomnę. Jesteśmy u kolegów i pijemy. Ja byłem może najmłodszy, miałem 18–19 lat, a wyglądałem na dwadzieścia kilka. I siedzi na moich kolanach dziewczyna, wszyscy byli dobrze pijani. W pewnej chwili ta dziewczyna mówi mi: „Henryk, wiesz, gdybym nie znała ciebie i twoich kolegów, ja bym powiedziała, że ty jesteś Żydem". Otworzyłem oczy: „Dlaczego?". I tej odpowiedzi nie zapomnę: „Coś w twoich oczach". Później myślałem: ona była Żydówką, stuprocentowo była. Moje oczy mnie omal nie wydały, ale nic... Zaczęliśmy pić razem, wszystko potoczyło się normalnie.

Powstanie Warszawskie
Byłem w Szkole Podchorążych w Warszawie. Podczas powstania byłem na Siennej, później walczyłem na Starówce, gdzie zostałem ranny. Wzięli mnie do jakiejś piwnicy, gdzie był szpital. Miałem rękę i obydwie nogi przestrzelone. Moi koledzy przychodzili codziennie. Lekarzy tam nie było dużo. Leżałem z kimś, kto umarł i dwa dni tam leżał – nie było nikogo, żeby go zabrać. I wówczas, jak trzeba było opuścić szpital, moi koledzy przynieśli buty duże, owinęli wszystko bandażami i – nie wolno było rannych wziąć, ale oni sobie dali radę – znieśli mnie do kanałów. Chodziliśmy cztery i pół godziny. I ja, z tymi nogami, chodziłem. Wyjść nie mogłem. Trzeba było mnie wyciągnąć. Wtedy dostałem drugi raz, w głowę, i wzięli mnie do jakiegoś szpitala na Polnej. Nie mogłem ruszyć głową jakieś 3–4 miesiące. Myśleli, że nie będę w ogóle ruszać głową. Ale najgorsze było, że trzeba było wyciąć te moje włosy. Miałem dużo włosów. Jak je usuwali, to nie mieli dla mnie żadnego znieczulenia – kilka razy byłem nieprzytomny, cała skóra zeszła. Ponieważ moja matka była na Polnej, jakoś ją zawiadomiłem i przyszła zobaczyć mnie w szpitalu. Nawet nie rozmawialiśmy, ona tylko popatrzyła na mnie, nie doszła do mnie. Szpital miał opuścić Warszawę. Trzeba było

mnie umyć, a ja miałem obie nogi w gipsach, obie ręce w gipsach. Zawołałem młodego lekarza i powiedziałem mu: „Panie lekarzu, pan widzi, z której ja jednostki jestem, bo koledzy przychodzili. Ja jestem Żydem, trzeba mnie umyć – jak mnie umyją sanitariusze, zobaczą, że jestem przecięty, powiedzą Niemcom. Zrób pan, co pan chcesz. Ja nie mogę nawet ręki podnieść". Nawet nie znam jego nazwiska. On mnie sam umył i przeprowadził do pociągu. I jeżeli ja żyję, to jemu to zawdzięczam. Wzięli mnie pociągiem do Krakowa i tam wsadzili do szpitala. Byłem tam razem z kolegami, którzy także zostali zranieni. I w Krakowie zostałem uwolniony przez Rosjan. Mam zdjęcia z tego szpitala w Krakowie, ale żadnego nazwiska moich kolegów z Powstania Warszawskiego nie pamiętam. Tak jak nie pamiętam, gdzie zostałem ranny na Starówce. Chcę znaleźć to miejsce i nie mogę. Przeszedłem Starówkę może z pięćdziesiąt razy. Są rzeczy, które wychodzą z głowy i nie chcą wrócić.

Koniec wojny. Lublin, Łódź

Po pół roku, jak mogłem już zacząć chodzić, postanowiłem szukać, kto został z rodziny. Pomyślałem, że muszę pojechać do Lublina, żeby kogoś znaleźć. I pojechałem pociągiem towarowym do Lublina. W Lublinie poszedłem do gminy i oni mi powiedzieli, że moja matka żyje. To był 1945 rok. I wówczas spotkałem matkę, ciotkę i tego wujka. Oni przeżyli. Byłem tydzień z nimi i uciekłem, bo byłem w środowisku Żydów, a nie chciałem w nim być. Nie wiem dlaczego. Jak na to patrzę dzisiaj, to głupstwo, ale tak było. Uciekłem do Łodzi i byłem tam przez pewien czas. Moja matka wyszła wtedy w Łodzi za mąż. I miałem kolegów z Warszawy, którzy także byli w Łodzi. Pewnego dnia zaprosiłem ich do domu, zobaczyli moją matkę, powiedzieli, że ona musi być Żydówką: „Co, ty jesteś Żydem?". Powiedziałem: „Tak". To już nie było to samo koleżeństwo. Postanowiłem, że to nie jest moje miejsce i pod koniec 1945 roku opuściłem Polskę.

Wyjazd z Polski. Niemcy, Francja

Wyjechałem w ubraniu UNRRY do Niemiec. Byłem tam w obozie dla przesiedleńców. Do Polski wróciłem jeszcze raz, na początku 1946 roku, w mundurze UNRRY, żeby odebrać dziecko ciotki i wujka, które dali na przechowanie chłopom z Bełżyc. Nie chcieli tej dziewczynki zwrócić. Kochali ją. Jak ją dostali miała 3–4 lata. Kiedy po nią przyjechałem, już miała jakieś 8–9 lat i nie chcieli jej zwrócić, ale zabraliśmy ją przy pomocy pieniędzy. Ona sama nie chciała wyjeżdżać, z nią było więcej problemów. Później wyjechała do Izraela i teraz od czasu do czasu przyjeżdża z nami do Bełżyc, jej dzieci przyjeżdżają. W zeszłym roku była tu z wnuczką. Zabraliśmy ją i znowu pojechaliśmy do Niemiec, przez „zieloną granicę". I wówczas do Izraela wyjechała moja matka, z drugim mężem. Nie miała dzieci innych. Moja matka była bardzo przedsiębiorczą kobietą, bardzo dobrze jej było. Pracowała – miała pieniądze, wszystko miała, co trzeba, ale serce nie wytrzymało. Umarła w Izraelu w 1969 roku. Nie zapomniała nigdy swojego drugiego syna. Były trzy godziny różnicy między nami. To jest dużo.

A ja postanowiłem zostać jeszcze w Niemczech i zacząć coś studiować. Zapisałem się na uniwersytet w Monachium. Wówczas do pracy zaangażowały mnie podziemne żydowskie organizacje. W dwóch byłem – w Haganie i w drugiej. Jak w jednej nie było dużo akcji, to przeszedłem do drugiej. Nie obchodziło mnie to, że jedna jest prawicowa, a druga lewicowa. Pomału zrozumiałem, że jest takie miejsce, do którego muszę pewnego dnia pojechać. To jest Izrael. Pracowałem przeprowadzając Żydów z Niemiec do Włoch przez „zieloną granicę". Byłem we Francji, koło Marsylii. Tam Hagana zorganizowała obóz szkoleniowy dla ludzi, którzy jechali do Izraela. Byłem komendantem tego obozu. Zacząłem znowu mówić po hebrajsku. To ci chłopcy myśleli, że jestem z Izraela.

Wyjazd do Izraela

Jak wybuchła wojna w Izraelu, to pojechałem tam. Trafiłem prosto do wojska. To był 1948 rok. Wzięli mnie do lotnictwa. W 1949 roku lotnictwo posłało mnie do szkoły do Ameryki. Byłem tam dwa lata. Wróciłem i pracowałem przy samolotach jako mechanik. Przeszedłem wszystkie rangi, od najniższej. Później posłali mnie do szkoły oficerskiej. W wojsku służyłem siedem lat. Opuściłem je w randze kapitana. Zacząłem pracować w Israel Aircraft Industries. Pracowałem tam od 1954 do 1973 roku. Ale jak przyjęli mnie do pracy, to powiedziałem prezesowi IAI, że będę siedział na jego miejscu – i siedziałem na jego miejscu. On dzisiaj ma 87 lat – ja mu to wspomniałem i on to pamięta. W IAI odpowiadałem za produkcję samolotów. Kilka razy byłem w Stanach i we Francji, uczyłem się jeszcze. Odszedłem stamtąd jako senior vice president manufacturer. Miałem wtedy 48 lat. Wraz z kolegami zbudowaliśmy prywatną firmę, z oddziałami na całym świecie: USA, Wielka Brytania, Szwajcaria. Sprzedawaliśmy cywilne samoloty. I tym się zajmowałem zasadniczo do czasu, kiedy wyjechałem z Izraela w 1987 roku, żeby mieszkać w Londynie, bo tak było mi łatwiej pracować. Ale w Izraelu byłem kilka razy do roku, bo zostały tam dzieci.

Dzieci i wnuki

Dwóch synów mam. Jeden się urodził w 1958, a drugi w 1964 roku. Obydwaj są obywatelami francuskimi, bo ich matka jest Francuzką, a także izraelskimi. Jak trzeba było pójść do wojska, zawołał ich w Izraelu attaché wojskowy francuski i pyta: „Gdzie chcecie służyć?". Powiedzieli: „W Izraelu". Jeden służył w marynarce, a drugi w czołgach. Dlaczego? Bo ja byłem w lotnictwie. Chciałem, żeby i oni byli w lotnictwie. Nie udało mi się. Po wojsku uczyli się, jeden i drugi. Starszy pojechał do Ameryki i tam się uczył 10 lat. Ukończył 4 fakultety w Los Angeles, w Stanford, z dziedzin: informatyka, finanse, marketing. A drugi po wojsku poleciał do Australii. Później uczył się w Stanach. Pracował w Hollywood i w Nowym

Jorku. Postanowił wrócić do Izraela. Podobnie starszy syn. Obaj wrócili do Izraela. Młodszy ożenił się za pierwszym razem ze Słowianką, ale rozwiedli się po kilku latach, nie było dzieci. I teraz się ożenił z Polką, Agatą. A drugi się ożenił w Izraelu. Mam troje wnucząt. Wnuczka jest w tej chwili w lotnictwie izraelskim, drugi chłopak w przyszłym roku idzie do wojska, a trzeci będzie miał bar micwę w przyszłym roku. A ja będę miał w przyszłym roku 80 lat.

Polska i język polski

Odciąłem się od języka polskiego, nie chciałem nic mieć z przeszłości. Nie mówiłem po polsku słowa, odkąd opuściłem Polskę. Żona jest Francuzką, kolegów nie miałem z Polski, bo jak się ma kolegów z Polski, mówi się po polsku – a ja nie chciałem. Mówiłem po hebrajsku.

Pierwszy raz przyleciałem do Polski w 1963 roku. Polska dała nam wtedy do naprawy samoloty, miała zachodnie samoloty i myśmy to robili dla nich. Więc przyleciałem do Polski kupić maszyny. Spędziłem tutaj tydzień, nieprzyjemny tydzień, bo chciałem także zobaczyć grób mojego ojca. I przyjechałem do Bełżyc. Wówczas był sołtys, przyszedłem do sołtysa, powiedziałem, że jestem wnukiem Szlamianki. Wiedział dokładnie, o kogo chodzi, i bał się, że przyjechałem odebrać im to, co należy do mojego dziadka. To powiedział mi, że nie ma tutaj żadnego grobu, i to wszystko – wyrzucił mnie. To był 1963 rok. Do 1987 roku nie wiedziałem, co to Polska. Nie mówiłem po polsku nic. W 1987 roku, jak już byłem na własnym, nie pracowałem w IAI. Prezes IAI, który był moim dobrym kolegą, zadzwonił do mnie do Nowego Jorku, żebym przyleciał na kolację z kimś, kim będę zainteresowany. Wziąłem samolot i przyleciałem. Kolacja była z prezesem PZL-u, panem Krężlewiczem. Przyszedłem na tę kolację, nie mówiłem słowa po polsku. I po dwóch butelkach wódki zacząłem mówić po polsku. On mnie zaprosił do Polski. Mówiłem mu: „Ja mam paszport izraelski" – wówczas Polska nie

miała z Izraelem stosunków dyplomatycznych. „Ja cię przyjmę". „Dobrze". Przyleciałem. Czekał na mnie na lotnisku. Chciał mi pokazać, co oni robią. Wydał dla mnie kolację w Łazienkach. I wtedy pierwszy raz postanowiłem powiedzieć kilka słów po polsku, przygotowałem się trochę. Ja sobie wówczas przypomniałem Asnyka, powiedziałem: „A w nie uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę". Wstał młody inżynier, bo tam byli wszyscy inżynierzy z PZL-u, i dokończył to. Zacząłem trochę mówić po polsku. I wówczas prosiłem go, żeby dał mi kierowcę, bo chcę szukać grobu mojego ojca. Nie znalazłem. Jakieś pięć razy przyjeżdżałem do Polski – nie znalazłem.

Poszukiwania grobu ojca w Bełżycach, odbudowa cmentarza

W 1988 roku postanowiłem, że moi synowie powinni wiedzieć, co tu się działo. Nigdy w domu nie mówiliśmy o tym, nie chciałem o tym mówić. Oni wówczas obydwaj studiowali w Kalifornii, przywiozłem ich stamtąd do Warszawy. Pojechałem z nimi we wszystkie te miejsca: do Oświęcimia, na Majdanek – wszędzie byliśmy. I wówczas, pod koniec, mówię: „Dobrze, jedziemy teraz szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem". Pojechaliśmy do Bełżyc, kręcimy się – nic. To powiedzieli: „Dlaczego się nie zapytasz?". Za dumny byłem, żeby spytać kogoś. Wykręcili mi rękę, poszedłem do burmistrza miasta. Powiedziałem: „Panie burmistrzu, jestem wnukiem Szlamianki". I pan burmistrz wiedział dokładnie, kim ja jestem. Gdybym powiedział: „Jestem Ariav-Cygielman", nikt by nie wiedział. Wnuk Szlamianki – wiedział doskonale. On był bardzo porządny, bardzo przyjemny chłop. Powiedziałem mu: „Przyjechałem z synami szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem, i ja go nie mogę znaleźć". On patrzy na mnie, mówi: „Chodź pan ze mną, ja panu pokażę". O mało nie dostałem ataku serca. Jedziemy w to miejsce, gdzie my cały czas się kręcimy. A co tam jest? Tam jest miejsce, gdzie się młodzież bawi, i drzewa są. Mówi mi: „To był kirkut żydowski". Nie ma żadnej macewy, niczego nie

ma. To jest to miejsce. „To pan jest pewny, tak?". Poszliśmy do ksiąg, sprawdziliśmy. To było to miejsce. Ale drzewa tam były i nie było żadnej macewy. Wówczas prosiłem go o pomoc i on mi jej udzielił. I także pan Krężlewicz dał mi tę pomoc i pan Turski też mi pomógł bardzo. Napisałem list do ministra i w ciągu tygodnia dostałem odpowiedź z zapewnieniem, że to miejsce będzie dla Polaków święte. Wtedy zacząłem pracować nad tym, żeby dostać pozwolenie na postawienie tutaj żydowskiego kirkutu. I dostałem to pozwolenie, i kirkut zbudowałem. Wziąłem dwóch architektów z Warszawy, nie chciałem niczyjej pomocy, nie chciałem w tym ni księdza, ni rabina. Jak zrobiłem ten cmentarz, to przyszli do mnie ludzie i powiedzieli, że oni mają meble mojego dziadka. [Spytali], czy ja chcę to kupić. Powiedziałem, że nie, nie chcę kupić, zostawcie to sobie. Jeden gość przyniósł mi świecznik, powiedział, że to jest świecznik dziadka – i to kupiłem od niego. Niczego nie chciałem oglądać i nie chciałem tego: macie, sprzedajcie, zróbcie co chcecie. Tylko ten świecznik, i on stoi w moim biurze w Londynie. Zrobiłem jedną niepotrzebną rzecz, że go osrebrzyłem, bo on był czarny, powinienem go zostawić czarnym.

Język jidysz

Językiem jidysz posługiwałem się przed wojną. Dzisiaj więcej słucham niż mówię. Jak ktoś do mnie mówi po żydowsku, rozumiem. Ale nie będę z nim rozmawiał po żydowsku. Mam kuzyna, który przyjechał z Sao Paulo. Nie widziałem go jakieś dwadzieścia kilka lat. On jest z Lublina. Opuścił z rodziną Lublin w 1939 roku. Mam z nim problem: on mówi po portugalsku – ja nie znam portugalskiego; po angielsku trochę mówi, ale niewiele; polski trochę pamięta, ale nie za dużo, bo on jest młodszy ode mnie o 3 lata. I on pamięta, i ja pamiętam, jak żeśmy się tutaj razem bawili, ale on zna jidysz. Więc teraz, jak z nim jechałem do Bełżyc, w samochodzie mówiliśmy trochę po żydowsku, ale tak, to nie używam tego języka. Używam czasami jakichś słów, które pamiętam, a które po

żydowsku znaczą w ogóle coś innego – kiedy nie ma takiego słowa w innym języku.

Spotkanie z młodzieżą. Bełżyce, 2004

W zeszłym roku zaprosili mnie do szkoły w Bełżycach uczniowie ostatniej klasy, przed maturą. Napisali do mnie e-mail z prośbą, żebym powiedział, co się działo, jak się działo, i tak dalej. Odpisałem im, że e-mailem tego nie zrobię, ale jestem gotowy przyjechać i porozmawiać z nimi. Przyjęli, przyjechałem. Było tam dużo młodzieży, bo wzięli uczniów z dwóch szkół, i było kierownictwo szkoły, a ja stałem, po polsku mówiłem. Były pytania, bardzo dobre pytania. Odpowiedziałem trochę politycznie, niecałą prawdę, bo nie ma prawdy. Pytali, jacy Polacy byli. Co im powiedzieć? Jak to było? Oni za młodzi są. Powiedziałem, że byli tacy i tacy.

Do młodych

Sądzę, że nigdy nie byłem człowiekiem, na którego się patrzy i mówi: „Chciałbym być taki, jak ty jesteś". Nie mogę powiedzieć młodym ludziom, jak robić, co robić; ja także moim synom nie mogę tego powiedzieć. Ale jedną rzecz powiem: ucz się, ucz i – co najważniejsze – daj część z siebie innym: ludziom innej wiary, ludziom innej krwi, bo dzisiaj nie ma miejsca na: „On jest żydem, a ja jestem prawosławny, a ten jest luteraninem..." – nie ma na to miejsca. Bądź człowiekiem. Będziesz pracować i będziesz miał trochę szczęścia, to dojdziesz do czegoś, czego ty chcesz – jeżeli wiesz, czego chcesz. Bo ja przeszedłem życie i widziałem dużo ludzi, którzy nie wiedzieli, czego chcieli. I tak przeszli przez swoje życie. Oni nie wtargnęli do życia – oni przeszli tak obok albo na górze tak, ponad. A trzeba wtargnąć, trzeba poznać, co to jest, trzeba czuć.

To jest pierwszy raz, po tylu latach, że ja siedzę tutaj z kimś i mówię o tych czasach. No, oczywiście, mówiłem tylko trochę o tym – ta historia, inna historia, opowiadam je. Ja mam jeszcze inne historie, z mojej pracy. Ja byłem na wszystkich wojnach Izraela, pracowałem

z wieloma ludźmi, poznałem dużo wybitnych ludzi. A to wszystko, co to jest – nie wiem. Gdybym sam nie osiągnął i nie chciał tego...

Archiwum Teatru NN.
Rozmawiali: Tomasz Pietrasiewicz, Tomasz Czajkowski, 2008.
Całość relacji na stronie www.historiamowiona.tnn.pl

NIMROD SZALOM ARIAV
(Szulem Cygielman, Henryk Górski, Jerzy Eugeniusz Godlewski)

BIOGRAFIA

Nimrod Ariav urodził się 24 września 1926 roku w Lublinie jako syn Marty i Lejba Cygielmanów. Miał brata bliźniaka – Abrahama. Wychowywał się w mieszkaniu przy ulicy Nowej 17 w Lublinie. Znał język polski, a także żydowski, którego używano w jego domu rodzinnym i hebrajski, w którym rozmawiał z bratem. Ponadto uczył się niemieckiego.

Rodzina ojca wywodziła się z Lublina, dziadek Ariava – Izrael Dawid mieszkał przy ulicy Kowalskiej 8. Matka – Marta (Rajzla Matla), z domu Wajsbrodt pochodziła z zamożnej rodziny z Bełżyc. Angażowała się w ruch syjonistyczny, dlatego wysłała swoich synów do szkoły powszechnej z językiem wykładowym hebrajskim – Tarbut. Następnie obaj rozpoczęli naukę w Gimnazjum Żydowskim przy ulicy Niecałej 3 w Lublinie.

Wojna

W trakcie wojny, najprawdopodobniej w 1940 roku, Ariav wyjechał wraz z rodziną do Bełżyc, gdzie zamieszkał u krewnych. Pracował tam jako pomocnik w elektrowni. 2 października 1942 roku w trakcie łapanki Żydów Niemcy zatrzymali 150 osób. Wśród nich był ojciec Nimroda Ariava – Lejb Cygielman. Zostali oni rozstrzelani w tym samym dniu na placu przed bożnicą w Bełżycach. Nocą ciała rozstrzelanych grupa Żydów, w tym Nimrod Ariav,

przewiozła furmankami na kirkut znajdujący się pod Bełżycami (obecnie ulica Przemysłowa). Kilka tygodni po tym Ariav zdecydował się na opuszczenie miasteczka. Pod koniec 1942 roku wyjechał do Warszawy, gdzie rozpoczął życie na aryjskich papierach pod nazwiskiem Henryk Górski. Zaczął uczęszczać na tajne komplety szkoły średniej im. Śniadeckiego. Wstąpił do Armii Krajowej. W kwietniu 1943 roku sprowadził do Warszawy brata Abrahama. Zamieszkali przy ulicy Siennej razem z lubelskim, żydowskim małżeństwem Rajs – Jakubem i jego żoną Anną, znaną później jako Anna Langfus. Po kilku miesiącach ktoś doniósł, że są Żydami ukrywającymi się na aryjskiej stronie. W czasie aresztowania zginął jego brat Abraham. Ariavowi udało się uciec. Zmienił nazwisko na Jerzy Eugeniusz Godlewski i zamieszkał w innym miejscu. W tym czasie również w Warszawie, przy ulicy Polnej ukrywała się także jego matka. Po wybuchu Powstania Warszawskiego Ariav, prawdopodobnie jako członek batalionu „Parasol" brał udział w walkach na ulicy Siennej i na Starówce. Został ciężko ranny, ewakuowano go kanałami. Po upadku powstania trafił do szpitala w Krakowie, gdzie doczekał wyzwolenia w styczniu 1945 roku. W tym samym roku na krótko wrócił do Lublina, skąd wyjechał do Łodzi.

Wyjazd z Polski

Pod koniec 1945 roku opuścił Polskę, wyjeżdżając do Niemiec, gdzie podjął studia na uniwersytecie w Monachium. Jednocześnie uczestniczył w organizowaniu nielegalnego przerzutu Żydów z Niemiec do Włoch. Z Niemiec dotarł do Francji, gdzie został komendantem obozu szkoleniowego Hagana. W 1948 roku wyjechał do Izraela i wstąpił do wojska. Służył w lotnictwie i brał udział w prowadzonych w tamtych latach wojnach Izraela z państwami arabskimi. W wojsku spędził siedem lat, po czym opuścił je w randze kapitana. W latach 1954–1973 pracował w izraelskim

przedsiębiorstwie lotniczym (Israel Aircraft Industries). Później założył własną firmę lotniczą z oddziałami na całym świecie: USA, Wielka Brytania, Szwajcaria. W 1987 roku kolejnym miejscem jego zamieszkania po Tel Awiwie stał się Londyn. Jego żona Odette pochodzi z Francji. Ma dwóch synów (Avi (Abraham) ur. 20 czerwca 1964 roku i Ariel ur. 12 kwietnia1958 roku).

Przyjazdy do Polski

Po raz pierwszy po opuszczeniu Polski po wojnie Nimrod Ariav przyjechał tu w 1963 roku. Od 1987 roku przyjeżdża regularnie. Pod koniec lat 80., z pomocą burmistrza Bełżyc Bogdana Abramowicza odnalazł kirkut, po którym nie było już żadnego śladu oraz znajdujący się tam grób ojca. Dzięki jego zaangażowaniu (również finansowemu) teren dawnego kirkutu został ogrodzony i uporządkowany. Wewnątrz kirkutu wyeksponowano kilka ocalałych macew przyniesionych przez mieszkańców miasta. Na tablicy umieszczonej na ścianie ogrodzenia zapisano: „Pamięci tych wszystkich, którzy pochowani zostali w tym miejscu". Obok Ariav umieścił też tablicę poświęconą pamięci swojego ojca. Uroczyste zakończenie prac przy budowie tego miejsca pamięci odbyło się w październiku 1990 roku, w rocznicę egzekucji z 2 października 1942 roku.

Corocznie jesienią, w kolejne rocznice, Ariav przyjeżdża do Bełżyc z najbliższą rodziną i przyjaciółmi z całego świata. Uroczystości odbywają się w miejscu egzekucji z dnia 2 października – tu, gdzie stała bożnica, a następnie na kirkucie. Nimrod Ariav wielokrotnie wspomagał lokalną społeczność, między innymi fundując sprzęt dla szkoły i szpitala.

SPIS TREŚCI

Wstęp / Tomasz Pietrasiewicz 4

„Jestem wnukiem Szlamianki” 7
Reportaż / Agnieszka Góra-Stępień

Wywiad z Bogdanem Abramowiczem 74
Rozmawiał: Tomasz Czajkowski

Dzieje Żydów bełżyckich / Kalendarium 84

Relacja Historii Mówionej Nimroda Ariava 91
Rozmawiali: Tomasz Pietrasiewicz, Tomasz Czajkowski

Nimrod Ariav / Biografia 108

„Historie z Bramy. Nimrod Ariav"

Wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN"
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

www.teatrnn.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl
www.bramapamieci.teatrnn.pl

Redaktor prowadzący: Agnieszka Wiśniewska
Redakcja: Agnieszka Góra-Stępień
Korekta: Teresa Markowska
Przygotowanie zdjęć: Marcin Fedorowicz
Zdjęcie na stronie 3 - autor: Marcin Sudziński
Projekt okładki i skład: Michał Kaczkowski

Druk i oprawa: PETIT s.c. Lublin
www.petit.lublin.pl

Nakład: 300 egz.
ISBN: 978-83-61064-05-3
Wydanie drugie poprawione

Tekst publikacji udostępniony na licencji Creative Commons: CC-BY-SA
Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 3.0 Polska

HISTORIE Z BRAMY

Od samego początku istnienia Teatru NN jego siedzibą stała się Brama Grodzka. To właśnie w tym miejscu przeżyliśmy wiele niezwykłych spotkań z różnymi ludźmi, z ich historiami. Warto w tym miejscu przypomnieć fragment jednego z tekstów opisujących działalność ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN":

„To tu, w Bramie Grodzkiej, zwanej też Bramą Żydowską, będącą dawniej przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim a miastem żydowskim, próbujemy zrozumieć, co oznacza to miejsce dla nas dzisiaj, jakim jest dla nas przesłaniem.
To tu rozmawiamy o książkach. O poezji. O sztuce. Starając się w zgiełku i chaosie codzienności chronić sens i porządek świata. […]
To tu, w tym miejscu, zawarliśmy wiele przyjaźni, wiele się nauczyliśmy, wiele przeżyliśmy.
To Brama Grodzka dała nam tę piękną podróż.
Bez niej nie wyruszylibyśmy w drogę".

Chcąc ocalić pamięć o tych spotkaniach, postanowiliśmy je opisywać. W ten sposób powstała seria wydawnicza pt. „Historie z Bramy".

NN